EPOKA

ROK III. Warszawa, 20 grudnia 1936 r. Rok III, Nr. 14 (79)

Treść numeru:

TRYUMF NIEPODLEGŁEGO SUMIENIA

Dawno już nie mieliśmy w całej Europie książki, którąby tak rozległy, tak potężny i jednocześnie tak zasłużony zdobyła rozgłos, jak mała, szczupła, zaledwie 120-stronicowa broszura francuskiego pisarza Andrzeja Gide'a, wydana pod skromnym, niepozornym tytułem: „Retour de L'U. R. S. S." („Powrót ze Z. S. R. R.").

Ileż tych wyjazdów do Rosji Sowieckiej i tych powrotów z krainy wielkiego przewrotu przyniosła nam już literatura światowa w postaci opisów i reportaży, mniej lub więcej ciekawych; wrażeń i refleksyj, mniej lub więcej głębokich! Niektóre z tych dzieł były pełne entuzjazmu, inne były pełne gorzkiego rozczarowania.

To jednak, co daje nam zwięzła książka Gide'a, wyrasta ponad wszystko, co dotychczas myśl europejska powiedziała o praktycznych wynikach dzieła Lenina i Stalina: ponad wszystko, co powiedziano na rzecz ich eksperymentu; ponad wszystko, co powiedziano przeciw niemu.

Tej szczególnej wartości, tej wyższej miary w ocenie współczesnej rzeczywistości rosyjskiej, nie należy jednak doszukiwać się w jakimś nowym, uderzającym swą wyrazistością, podziale świateł i cieni na ujrzanym obrazie. Sądy pisarza francuskiego dalekie są od stanowczości wyroków, przecinających zawiłe sprawy ostrzem pióra. Raz po raz, stając wobec nowych doświadczeń lub zdobyczy, stwierdza on swój brak kompetencji do wydania o nich opinii. A już z góry zastrzega się, że obcy mu jest świat przemysłu i handlu, świat techniki gospodarczej i finansowej; że cała jego uwaga skupia się na stronie psychologicznej komunizmu, na warunkach, jakie nowy ustrój stworzył dla wychowania i wykształcenia człowieka, dla jego rozwoju i twórczości.

Ale i w tej — ograniczonej — dziedzinie psychologicznej daremnie oczekiwalibyśmy od Gide'a deklaracji, w sposób zdecydowany wyrażającej bilans tego, co widział w Unii Sowieckiej podczas trzymiesięcznej gościny pod jej rządami.

— Są tam — mówi poprostu i zaraz na wstępie — rzeczy dobre i są rzeczy złe; powiedziałbym nawet: rzeczy wyborne i jak najgorsze. To, co jest wyborne, osiągnięto częstokroć za cenę kolosalnych wysiłków. Wysiłek jednak nie zawsze i nie wszędzie dokazał tego, czego dokazać zamierzał. Niekiedy można pomyśleć: nie dokazał jeszcze. Niekiedy rzeczy jak najgorsze towarzyszą i wtórują nailepszym: rzekłbyś prawie, że są ich następstwem. Ze smugi

światła przechodzi się tam z niepokojącą obcesowością w smugę najgęstszego mroku. Zdarza się często, że podróżnik, w zależności od zgóry powziętych przekonań, bywa wrażliwy jedynie na światła lub jedynie na mroki. Zdarza się aż nazbyt często, że przyjaciele Sowietów nie chcą dostrzegać rzeczy złych: *tak, że, zbyt często, prawda o Rosji Sowieckiej wypowiadana jest z nienawiścią, a kłamstwo — z miłością.*

Oryginalna, wyjątkowa — jeśli nie jedyna w swoim rodzaju — wartość opowieści Andrzeja Gide'a o podróży do Rosji Sowieckiej, polega, jak widzimy, nie na sile lub uroku, z jakimi autor nam swoje sądy poddaje, ale — przeciwnie — na bezgranicznej wręcz szczerości i prostocie, z jaką dzieli się z nami każdą napotkaną wątpliwością.

— Umysł mój — wyznaje autor — tak jest ukształtowany, że z największą surowością występuje wobec tych, których pragnąłbym zawsze pochwalać. Źle to bowiem świadczy o miłości, jeśli ogranicza się ona tylko do pochwał. Sądzę przeto, że większą wyświadczę przysługę i samej Republice Rad i sprawie, którą ona przedstawia, gdy będę mówił bez kłamstwa i bez ogródek.

Bez kłamstwa i bez ogródek!...

I rzeczywiście ton nieustraszonej odwagi w przeciwstawianiu się kłamstwom i pozorom, choćby najbardziej kuszącym; ton żarliwości w docieraniu do prawd, choćby najokrutniejszych, czyni z książki Gide'a już nie opis podróży po obcym i zagadkowym kraju, ale *głęboką spowiedź osobistą, najczulszy obrachunek sumienia między imperatywem, zrodzonym w duszy, a rzeczywistością* wykuwaną w krwawej miazdze życia, uwikłaną w kompromisy i ugniataną przez przemoc. Aby zrozumieć i docenić wysiłek, na jaki zdobył się Gide, wyzwalając się z pod wpływu urzędowej propagandy moskiewskiej i oko w oko spoglądając w rzeczywistość, trzeba uprzytomnić sobie naprzód, czym była dlań ojczyzna Lenina i Stalina od szeregu lat, czym była dlań jeszcze pół roku temu — przed podróżą do Moskwy.

Była ona dla niego — jak sam wyznaje — czymś więcej, niż drugą ojczyzną: była dlań przykładem i przewodnikiem. Nigdy wprawdzie jego głośno manifestowana sympatia dla dalekiego kraju Sowietów nie wyraziła się w akcie woli, nakazującej mu stanąć w szeregu członków partii komunistycznej. Niemniej wszakże formy nowego ustroju budowane w Rosji, wydawały mu się tym, czego szukał przez całe życie; wydawały mu się realizacją warunków, umożliwiających najpełniejszy rozkwit sił duchowych jednostki, sharmonizowany z rozwojem środowiska. Na przekór zastrzeżeniom wielu swych przyjaciół, zachowujących wobec Moskwy postawę powściągliwą lub niechętną, upatrywał on w komunizmie rosyjskim jeśli nie ziszczającą się nadzieję nowego, lepszego świata, to zwycięską, otwartą bramę ku tej nadziei. Widział w nim, w każdym razie, przełamanie zapory, jaką schyłkowy, zwyrodniały kapitalizm postawił na drodze postępu człowieka i ludzkości. A więc — marzył on — jest jakiś kraj, w którym utopia obleka się w rzeczywistość. Olbrzymie tego kraju dokonania wypełniały serce jego gorączką nowych oczekiwań. Rzeczy najtrudniejsze — zdawało mu się — są tam już zrobione; z radością tedy, w imieniu wszystkich ludów cierpiących, biegł do udziału we wspólnym doświadczeniu i we wspólnym ryzyku...

Tak marzył, tak wierzył, tak chciał wierzyć Andrzej Gide. Jeszcze wstępując na ziemię sowiecką, był przekonany, że „przyszłość kultury związana jest w naszych umysłach z losem Z. S. R. R.". Lecz, oto, spojrzał zbliska w ów świat, w którym pragnął odnaleźć ojczyznę swoich tęsknot, i — cóż zostało z dawnych marzeń i wierzeń?

Wolność w Unii Sowieckiej? „Wątpię, ażeby w jakimkolwiek innym kraju, nie wyłączając Niemiec hitlerowskich, duch ludzki był mniej wolny, bardziej przytłoczony, lękliwy, bardziej spętany".

Dyktatura proletariatu? „Jesteśmy dalecy od niej. Dyktatura, oczywiście, tak. Ale dyktatura jednego człowieka, nie zaś zjednoczonego proletariatu, nie dyktatura rad".

Braterstwo ludów? Internacjonalizm? „Rzecz najważniejsza tutaj, to wmówić w ludzi, że nigdzie nie żyje się tak szczęśliwie, jak pod rządami Stalina. Osiąga się to przez odcinanie obywateli sowieckich od jakiejkolwiek łączności z zagranicą... Uśmiechano się z niedowierzaniem, gdym mówił, że w Paryżu także istnieje kolej podziemna".

Równość? Społeczność bezklasowa? „Jakże nie czuć się uderzonym pogardą, lub — co najmniej — obojętnością, jaką ci, co należą do „wyższego świata", okazują „niższym", służbie domowej, wyrobnikom, najemnikom dziennym i — rzekłbyś: ubogim. W Rosji Sowieckiej ma się rozumieć, nie ma klas; ale są ubodzy. Jest ich nawet zbyt wielu, aż nazbyt wielu".

Obalenie własności prywatnej? „Wraz z odbudowaniem rodziny (jako „komórki społecznej"), spadkobierstwa, przekazywania mienia w testamencie, pęd do zysku, do posiadania indywidualnego, bierze stopniowo górę nad duchem koleżeństwa, wspólnoty i wzajemności".

Samokrytyka? „Tak, wolno jest pytać, czy to lub tamto zgadza się z linią generalną. Ale sama linia krytyce nie podlega. Sama linia generalna nie bywa przedmiotem dyskusji. Pozwala się jedynie rozprawiać nad tym, czy dane dzieło, dany krok lub dana teoria odpowiada wymaganiom owej linii uświęconej. Biada temu, ktoby ośmielił się ją przekroczyć!"

Możnaby tę listę zestawień snuć jeszcze dalej: ale czyż to, co przytoczono wyżej, nie przesądza sprawy? Bo o cóż chodzi wielkiemu pisarzowi Francji? Czy o tak popularną dzisiaj a nadużywaną przez wszelkich „rycerzy przemysłu" walkę z komunizmem? Nie. Apostołów głoszących dzisiaj krucjatę przeciw komunizmowi, jest mnóstwo. Wystąpienie zaś Andrzeja Gide'a jest jedno i ma wartość jedyną. Nie jest ono akordem propagandy, szerzonej przez potężne ośrodki burżuazji: jest głosem wolnej myśli, jest wyznaniem niepodległego sumienia. Utajona w nim siła przekonania polega właśnie na tym, że jest siłą ducha, nie zaś refleksem materialnych oddziaływań: siłą czystą i bezinteresowną.

Dlaczegóż to bowiem każdy z nas wierzy autorowi „Lochów Watykanu", gdy wytyka Sowietom ciężkie przewiny przeciw wymaganiom ducha — wiecznego rewolucjonisty? Czemu nie posądzamy go o stronniczość lub poddawanie się naciskom i panicznym nastrojom burżuazji? Nie posądzamy go o stronniczość, gdy krytykuje komunizm, ponieważ znamy odwagę, z jaką demaskuje kapitalizm. *Co go razi w nowym ustroju sowieckim, to odradzające się przywary i skostnienia starych republik burżuazyjnych.* Co go zniechęca do rządów Stalina, to zbyt

mroczny, zbyt głęboki cień, kładący się na nie od dyktatury Hitlera.

Krytyka, jakiej dziś, po powrocie z Moskwy, poddaje Andrzej Gide cały obszar sowieckiego eksperymentu, przekonywa nas swoją szczerością dzięki temu, że szczerość tę ujawnił w walce z tyranią pieniądza; a przede wszystkim, że okupił ją straszliwym bólem, jaki zadaje człowiekowi konieczność rozstania się z wizją, ukochaną i wypiastowaną na dnie duszy, łaknącej wyzwolenia.

Prawdy i rzetelności świadectwa, jakie ów ból udokumentował, nie przemogą największe potęgi świata, największe megafony propagandy. Cóż bowiem wszechwładny Stalin zdoła przeciwstawić małej książce Gide'a? Chór swej kominternowskiej agitacji? Ależ w tej nierównej dyspucie każdy na Zachodzie myślący robotnik stanie przeciw całej armii Kominternu po stronie jednego Andrzeja Gide'a. Wielki despota Kremlu, przed którym drży i gnie się w postrachu 160 milionów ludności, po raz pierwszy — wobec książki Gide'a — uczuje się bezsilny. Po raz pierwszy pozna, że jest coś mocniejszego ponad czołgi i armaty, ponad żelazny magiel, niwelujący głowy ludzkie, jest coś skuteczniejszego ponad miliony rubli i czerwońców, wydawane na urzędową tresurę mózgów: *że potężniejsza ponad urządzenia despotycznego państwa może być myśl wolna jednego człowieka. Ale pod warunkiem, że będzie to myśl naprawdę wolna, naprawdę niepodległa:* myśl taka, której wyraz całą rozległą twórczością swego życia dał Andrzej Gide. Nie lękał się on gromów burżuazji, gdy głosił swą entuzjastyczną wiarę w przyszłość kultury ludzkiej, odrodzonej — jak sądził — na pniu sowieckim. Był szczery, gdy wypowiadał wiarę w Sowiety; więc zyskał prawo do zaufania i teraz, gdy im stawia swoje nieodparte zarzuty.

Stając w obliczu książki wielkiego pisarza francuskiego, stajemy mimowoli wobec jednego z cudów kultury zachodniej: cudu, polegającego na tym, że *naród, zapewniający wolność swym obywatelom, zapewnia sobie zarazem niezawodne środki samoobrony;* takie środki, jakich nigdy nie zdobędzie despotyzm. Jeśli chodzi bowiem o postawę niezależności wobec komunizmu we Francji, to jeden głos Gide'a znaczy więcej, niż tysiące przysięgłych propagatorów, wypowiadających się bądź na rzecz doktryny moskiewskiej, bądź przeciw niej.

Nie wszyscy wszakże na ten głos mają się prawo powoływać. Tylko ci, którzy nie sprzeniewierzają się zasadzie wolności, nawet wtenczas, gdy ona zwraca się przeciwko nim, mają prawo z dobrodziejstw wolności korzystać. Tylko ci, którzy nie kwestionowali bezinteresowności sądów pisarza, gdy lokował swe nadzieje w Sowietach, mogą polegać na jego zdaniu dzisiaj, gdy nadzieje swe podał tak surowej rewizji.

Wolność — jak prawda — jest niepodzielna: jest jak lot ptaka, który, aby unosić się nad ziemią, władać musi obu skrzydłami — i prawym i lewym. Kto jedno skrzydło obcina, ten ptaka — wbrew naturze — zmusza pełzać po ziemi. *W. Rzymowski.*

LEON WASILEWSKI

Dn. 10 grudnia 1936 r. zmarł w Warszawie Leon Wasilewski, przeżywszy lat 66. Należał on do tej świetnej plejady pisarzy i działaczy socjalistycznych, których życie upłynęło w nieustającej walce z przemocą, niewolą, krzywdą i wyzyskiem, w walce o wyzwolenie rzesz pracujących i o niepodległość Polski.

Już na ławie uniwersyteckiej przejąwszy się ideałami socjalistycznymi, brał czynny udział w ruchu młodzieży, a w 1895 r. po ukończeniu wydziału filozoficznego we Lwowie, poświęcił się całkowicie działalności społecznej, wstępując do szeregów Polskiej Partii Socjalistycznej. W 1898 r. został już członkiem zarządu P.P.S. i redaktorem „Przedświtu", wychodzącego naprzód w Londynie a później w Krakowie do 1902 roku. Od 1903 r. do 1914 r. był redaktorem „Robotnika" i innych wydawnictw partyjnych. W roku wojny światowej wybrany został członkiem Centralnego Komitetu P.P.S. Brał udział w Legionach, pozostając w bliskich i przyjacielskich stosunkach z Józefem Piłsudskim. W pierwszym Rządzie Ludowym objął tekę ministra spraw zagranicznych. Następnie z ramienia Naczelnika Państwa wziął udział w delegacji do Komitetu Narodowego w Paryżu. W 1920 r. piastował mandat posła Rzeczypospolitej w Estonii, następnie był członkiem delegacji pokojowej w Rydze.

Od 1921 do 1924 r. przewodniczył delegacji polskiej w mieszanej komisji granicznej polsko-sowieckiej, a potem polsko - rumuńskiej. Przewodniczył także polskiej delegacji do rokowań z Litwinami w Kopenhadze i Lugano.

Czynny i wszechstronnie wykształcony, mając rozległe zamiłowania intelektualne, Leon Wasilewski dał się poznać na polach działalności pisarskiej i naukowej. Należał do komisji antropologicznej Polskiej Akademii Umiejętności, następnie był przewodniczącym instytutu badań najnowszej historii Polski, przewodniczącym instytutu badań spraw narodowościowych, wreszcie do ostatniej chwili redaktorem „Niepodległości". Leon Wasilewski, niewzruszenie wierny swym ideałom młodości, pozostawał w przeciągu z górą lat czterdziestu w szeregach socjalistycznych piastując ostatnio jedno z najwybitniejszych stanowisk w Radzie Naczelnej P.P.S.

Wydał oddzielnie prace p. t.: „Sprawy narodowościowe w teorii i życiu", „Stronnictwa polityczne w Królestwie Polskim", „Współczesne państwo konstytucyjne", „Europa po wojnie", „Dzieje P.P.S.", „Ukraińska sprawa narodowa w jej rozwoju historycznym".

Będąc jednym z najwybitniejszych znawców spraw narodowościowych i oceniając ogromną ich wagę w odrodzonym państwie polskim, Leon Wasilewski miał szeroki pogląd na zadania polityki narodowościowej i na metody stosowania ich w życiu praktycznym.

Na kilka tygodni przed zgonem wydał broszurę p. t. „O drogę do socjalizmu i pokoju".

Demokracja polska traci jedną z najpromienniejszych postaci ostatniego półwiecza.

MASONERIA W POLSCE

W kampanii prasy endeckiej i klerykalnej nie małą rolę odgrywa straszak masoński. Od wielu, wielu lat ludziom najciemniejszym i najgłupszym wskazuje się masonerię, jako źródło wszystkich nieszczęść świata.

W broszurze p. t. „O masonerii i masonach", wydanej w Warszawie w roku 1906, pisał Andrzej Niemojewski:

„Ktokolwiek w Polsce walczy o wolność sumienia, o wolność nauki, o wolność polityczną, społeczną i ekonomiczną, tego prędzej czy później okrzyczą za masona. Masonem nazywają uczonego, który wykłada, że plemię ludzkie istnieje na ziemi dłużej, niż to uczy ksiądz podczas wykładu religii. Masonem nazywają socjalistę, który dowodzi, że stan robotniczy nie powinien z taką uległością znosić swej niedoli, jak to radzi ksiądz w czasie każdego niemal kazania. Masonem nazywają ludowca, który głosi, że chłop polski w walce o byt ma przeciwko sobie zbratanego księdza z panem, czemu przeczą pan i ksiądz".

Trzydzieści lat minęło od wydania broszury Niemojewskiego. Nic się pod tym względem nie zmieniło. Przeciwnie, słowa Niemojewskiego nabrały dziś najżywszej aktualności.

Walczący z masonerią dzielą się na różne kategorie.

Zastęp największy stanowią ludzie naiwni, otumanieni, oszukani, którzy wierzą, że wolnomularstwo to jakiś żywioł szatański, sprzysiężenie piekielne, spisek potworów moralnych, zagrażających wszystkiemu, co jest moralnością świata.

Kategoria druga — to ci, którzy widzą w ideach masonerii niebezpieczeństwo istotne dla swych interesów i dogmatów. Ci nieraz wyznają otwarcie, że pragną zniszczyć podstawowe zasady wolności ludzkiej. Wróg masonerji, jezuita Stanisław Załęski, autor dzieła p. t. „O masonii w Polsce od roku 1742 do 1822" (Kraków, r. 1889), oświadcza szczerze i uczciwie, że chodzi mu o potępienie „propagandy wolnego badania, wolnej nauki i wolnej wiary" (str. 31), oraz tych, którzy nie kładą „granicy poszukiwaniu prawdy" (str. 33). Tacy więc wrogowie masonerii, jak jezuita Załęski, nie insynuują jej celów „demonicznych", lecz zwalczają to, co rzeczywiście leży u podstaw ideologii masońskiej.

Do innego rodzaju wrogów masonerii należą demagodzy, którzy świadomie i cynicznie zniekształcają jej dążenia. Ci ze swych warsztatów kłamstwa wypuszczają na świat plotki i opowieści najśmieszniejsze, bzdurstwa obliczone na to, że nie masz granicy naiwności ludzkiej. Czegoż to nie pisano o masonerii? Gdzieś, potajemnie, w dziwnych lożach zbierają się straszni ludzie i knują, knują, knują... Ich radością jest zło świata. Ich rozkoszą — nieszczęścia narodów. Ich szczęściem — dewastacja moralna, bezdroża duchowe, bezład, chaos i anarchia...

Prawdziwe dzieci szatana, apostołowie nowej Sodomy i Gomory! Oto wizja wszechświatowego niebezpieczeństwa, obraz grozy, który roztacza się przed otumanioną ciemnotą. Oto argument pomocniczy w strategii politycznej demagogów, którzy wiedzą, że na wyobraźnię oszukanego tłumu trzeba działać nieustannie straszakami. A do najstarszych i najlepiej wypróbowanych należy straszak masoński. Na żadnym terenie walk społecznych nie osiągnięto takiego rekordu kłamstwa, jak w walkach z masonerią.

Inną jeszcze kategorię wrogów wolnomularstwa stanowią działacze polityczni, opanowani na tym punkcie wyraźną manią prześladowczą. Możnaby powiedzieć, że obrażony duch masonerii zemścił się na nich w ten sposób okrutny, iż wypaczył ich myśl, zasiał niepokój w ich duszy, odebrał równowagę i zmącił rozsądek. Prześladuje ich, ukazuje się w apokaliptycznych wizjach, jako wszechpotęga rządząca i trzęsąca światem. Chorzy na taką manię prześladowczą rozumować potrafią w innych sprawach przytomnie, tylko myśl o masonerii przyprawia ich o drżenie. Do pisarzy politycznych, ową manią najsilniej dotkniętych, należą Roman Dmowski, Zygmunt Wasilewski i endecki — pożal się Boże! — „historyk" K. M. Morawski.

Wreszcie — jeszcze jeden gatunek: notoryczni szarlatani, wydający broszury i wygłaszający odczyty o masonerii, pełne fantastycznych zmyśleń i pospolitych łgarstw.

Oszczerstwa rzucane na masonerię szczególnie są nikczemne w Polsce, w której dziejach wolnomularstwo odegrało rolę tak szlachetną. We wspomnianej broszurze pisze Niemojewski:

„Mason polski jest postacią, która czeka swego sprawiedliwego historyka. Nazwiska, które opromieniły w ciągu wieków naszą historię, należą do spisów wolnomularskich. Oto bohater książę Józef Poniatowski. Oto sławny wódz Henryk Dąbrowski. Oto generalicja: Kniaziewicz, Umiński, Prądzyński. Oto wieloletni minister Oświaty Stanisław Potocki. Oto literaci Osiński, Niemcewicz, Kniaźnin, Minasowicz, Brodziński. Oto cały szereg profesorów, mężów stanu, oficerów, obywateli. Oto najprzedniejsze rody Potockich, Jabłonowskich, Rzewuskich, Lubomirskich, Skarbków, Mycielskich, Bnińskich, Tarnowskich, dzisiejsze ostoje reakcji i klerykalizmu, walczą z supremacją dogmatu nad rozumem, budują naród. Mason polski nie może być usunięty z historii polskiej bez poważnego uszkodzenia jej samej".

Zmarły przed pięcioma laty pedagog polski, prof. Karol Serini, napisał rozprawę p. t. „Symbol w wolnomularstwie". Praca ta w spuściźnie po zmarłym znaleziona, wydana została przez grono przyjaciół i uczniów (Skład Główny w Domu Książki Polskiej. Warszawa 1933). Czytamy tam:

„Masoneria polska należy do tego odłamu wolnomularstwa wszechświatowego, w którym czynnik narodowy przeważał nad międzynarodowym. Powstała w tym okresie dziejów, gdy byt państwowy chylił się ku upadkowi. Narazie wolnomularstwo polskie było zabawką wielkopańską, tylko luźno związaną z losami narodu. W miarę wzrastania i potęgowania się ruchu odrodzeńczego, masoni stawali na jego czele, masoneria zaś została kuźnią, gdzie wykuwano plan ku uratowaniu Ojczyzny. Najpiękniejszy kwiat ginącego państwa, lecz odradzającego się narodu — Konstytucja 3 maja — była w nie małym stopniu dziełem wolnomularstwa. Tępota umysłowa, egoizm obywateli i przemoc wrogów sprowadziły śmierć Rzeczypospolitej, w popiołach jednak tlił ogień ofiarnej miłości Ojczyzny i legiony Dąbrowskiego wkroczyły do Ojczyzny ze sztandarami,

na których obok godła państwowego były umieszczone symbole wolnomularskie. Okres Królestwa Kongresowego był czasem najbujniejszego rozkwitu wolnomularstwa, oficjalnego do kasaty w r. 1821, konspiracyjnego do wybuchu powstania listopadowego. Ile twórczych myśli, szlachetnego zapału i pięknych czynów wniosła masoneria do skarbnicy narodu, oceni dziejopis, który w imię bezstronności naukowej ustali rolę wolnomularstwa w dziejach narodu".

Idee wolnomularskie nie uległy zmianie. Są te same. To też zwalczane są i zohydzane nadal przez wrogów wolności i sprawiedliwości, a budzą lęk lub przerażenie wśród oszukanej ciemnoty.

W GRANICACH PRAWA I PRAWDY

Wydarzeniem, które skupiło na sobie największą uwagę szerokich mas czytelników gazet na całym świecie w ciągu pierwszej połowy grudnia — był kryzys konstytucyjny w Anglii. Prasa wszechświatowa odzwierciadliła przebieg romantyczno-politycznej historii, która rozegrała się w ciągu 7 dni od 3 do 10 grudnia, t. j. od momentu przemówienia biskupa Bradfordu o obojętności króla Edwarda VIII w stosunku do kościoła, aż do aktu abdykacyjnego dn. 10 grudnia.

Na tle zupełnie nowoczesnego życia wśród utrzymanych z pietyzmem zamierzchłych form przeszłości angielskiej konflikt obowiązku króla z głosem serca — stanowić będzie na długo jeszcze przedmiot wielu opowiadań i rozważań, a niewiątpliwie i fabułę dla różnych na smak bulwarowy przykrojonych romansów filmowych i powieścideł. Nie na tej barwnej stronie tajemnic dworu w Buckingham-Palace warto zatrzymać uwagę czytelnika „Epoki", raczej — na głębszej treści przesilenia nieangielskiego, lecz wyraźnie brytyjskiego. Na pytanie, co wzięło górę w zatargu: król, rząd, izby, rodzina królewska, czy wreszcie pani Simpson — odpowiedź przy roztrząśnięciu sedna rzeczy wypadnie tylko jedna —: zwyciężyło prawo, ostał się ustrój oparty na prawach pisanych i obyczajach, stanowiących wraz z poczuciem prawa szerokich mas narodu angielskiego, wychowanych w wolności, podstawę ładu, porządku i wielkości common-wealth'u brytyjskiego.

W pierwszym momencie rozwoju kryzysu konstytucyjnego wydawało się przez chwilę, że w ukrytej walce toczącej się w najpoprawniejszych formach między królem a gabinetem Baldwin'a chodzi o nowe prądy w polityce. Konserwatywny gabinet przeciwstawiano królowi ożywionemu dążeniem do demokratyzacji państwa. Wrażenie było mylne, bo przecież po to istnieje nie pisana konstytucja angielska, aby tego rodzaju zatarg można było zawsze w drodze prawa — uczciwych wyborów — załatwić. Zbyteczne są zakulisowo wywoływane przesilenia. Kiedy po stronie króla wypowiedzieli się samodzielnie zawsze myślący — wśród konserwatystów Churchill, a wśród labourzystów — Wedgwood, pozory zasadniczej walki o kierunki i poglądy nabrały większej realności. Ale bardzo szybko ten pozór znikł i stało się rzeczą jasną, że wśród stojących na straży parlamentaryzmu, zarówno stronników rządu jak opozycji przede wszystkim bierze górę troska, aby suweren trzymał się ram prawa i to zarówno w wielkiej polityce, jak w sprawach codziennych. I w tych granicach zakreślonych prawem zatarg został rozstrzygnięty i uszanował je zarówno król, który wybrał szczęście osobiste nad tron, jak izby, społeczeństwo i rząd, których wolą suwerenność W. Brytanii ucieleśniać będzie odtąd po Edwardzie VIII — Jerzy VI. Nie da się zaprzeczyć, że monarchizm jako ustrój z kryzysu tego nie wychodzi zwycięsko, dając tym nowy dowód niezwykłej ewolucji politycznej Anglii, która potrafi w ramach prawa przystosowywać się do nowych warunków życia. Nowy panujący z domu Hannowerskiego — Windsorów, zasiadający obecnie na tronie, pomimo całego przepychu i „warunków zewnętrznych", które mu nadal zgodnie z tradycją będą towarzyszyć, stanie się bardziej zbliżony do prezydenta, niż do króla. Nic na tej ewolucji ustroju nie cierpi W. Brytania jako całość, bo i ta zamiana w gruncie rzeczy rewolucyjna dokonywuje się w majestacie prawa. To objaw nie wszędzie i nie zawsze zrozumiały, ale on właśnie stanowi najistotniejszy czynnik potęgi moralnej wielkich demokracji świata, — tak samo St. Zjednoczonych, jak W. Brytanii i Francji.

Miał rację po stokroć prezydent Roosevelt, gdy na otwarciu kongresu wszechamerykańskiego w Buenos-Aires powiedział, że „demokracja pozostaje nadal nadzieją całego świata" i w niej tylko w państwach, które trzymają się jej zasad upatrywał jedyną ostoję pokoju, jedyny czynnik realny przeciw wojnie. Demokracjom przeciwstawił państwa i rządy totalne, w których zbrojenia łączą się z systemem samowystarczalności gospodarczej (autarkii), prowadząc niechybnie do wojny. Gmach ich gospodarstwa — załamie się jak domek z kart — ostrzegał prezydent Stanów Zjednoczonych. Na razie ci, do których to ostrzeżenie jest skierowane, nie chcą znać ani prawa ani prawdy. Jaskrawy przykład mamy świeżo przed oczami. W Niemczech zamienionych przez hitleryzm na wielki obóz wojenny w czasie formalnie trwającego jeszcze pokoju, troska o prawo wogóle nie istnieje. Jak wiadomo stworzono przecież w tym celu nowe teorie o specjalnym prawie narodowo - socjalistycznym, odrzucającym zasadę *nulla poena sine crimine*. Według prawa hitlerowskiego może być karany niewinny, jeżeli to jest dogodne dla hitleryzmu, a może być nagradzany zbrodniarz, jeżeli to jest dla tegoż hitleryzmu potrzebne. Na takim bezprawiu, oparta budowa państwa i ustroju, społecznego musi oczywiście grozić katastrofą obcym i swoim.

Obcy o tym wiedzą i przedsiębiorą nieodzowne środki.

Swoim zamyka się oczy na prawdę, ukrywa się ją i przeinacza fakty.

W tych dniach w francuskiej Izbie Deputowanych toczyła się znamienna dyskusja o polityce zagranicznej Francji. Rząd premiera Bluma wyszedł z tej dyskusji zwycięsko i wbrew horoskopom paru panów z „I. K. C." i p. K. K. z „Gazety Polskiej", postawiwszy po raz pierwszy od 6 miesięcy kwestię zaufania otrzymał większość 350 przeciw 171. Od-

dzielnie zatrzymamy się na wynikach i skutkach tego głosowania. Na razie dla zobrazowania, jak ukrywa się w Niemczech od Niemców prawdę warto zanotować, jak referowano w „zglajchszaltowanej" ogłupionej prasie hitlerowskiej przemówienie premiera Bluma. Premier francuski, popierając i uzasadniając swoją politykę pokojową, stwierdzając, że woli nawet zgrzeszyć przez nadmiar zamiłowania do pokoju, niż przez budzenie uczuć wojennych, rzekł:

„Być może jednak nadejdzie taki dzień, że w obliczu kroków zbyt zagrażających zasadniczym warunkom pokoju, będziemy zmuszeni powiedzieć: „dosyć, co to, to nie, dalej iść już nie możemy". Każdy rząd francuski, godny Francji może być zmuszony do liczenia się z takim położeniem, o ile chodzić ma o nietykalność naszej ziemi, lub nietykalność terytorjów, których strzeże nasz podpis".

Zdanie jasne i zrozumiałe, a sens jego jest prosty: Francja nie tylko odeprze siłą zamach na swoje terytorium, ale stanie także zbrojnie w obronie każdego ze swych sprzymierzeńców, gdyż pokój jest jeden i niepodzielny. Nie można tak, jak twierdzą „geopolitycy" z Wilhelmstrasse czulić się np. z Francją, a wkroczyć zbrojnie np. do Czechosłowacji.

Oświadczenie Bluma, stawiające przed każdym Niemcem jasno sytuację, iż wszelki zamach zbrojny hitlerowców rozpęta wojnę, zostało spreparowane dla poddanych Hitlera i Göringa w taki sposób, aby tę jasną prawdę ukryć i zniekształcić. Powiedziano więc w urzędowym niemieckim streszczeniu mowy premiera Bluma tak: „Premier zwrócił uwagę, że może przyjść konieczność, iż Francja będzie musiała uciec się do środków ostatecznych, ale nastąpi to jedynie w obronie nietykalności jej terytorium."

Cel kłamstwa, cel ukrycia prawdy jest jasny i wyraźny.

Inni w inny sposób ujawniają swoje zamiłowanie do nieprawdy. Ci właśnie, którzy przepowiedzieli po raz setny upadek rządu Frontu Ludowego we Francji w dn. 8 grudnia przy głosowaniu formuły przejścia do porządku dziennego nad dyskusją przemówienia min. Delbos'a i premiera Bluma, przez chwilę już triumfowali. Widzieli oni już rozkład bloku Frontu Ludowego: trzej komuniści z trybuny Izby potępili politykę rządu Bluma, a rząd ten powiedział, że jeżeli komuniści będą przeciw niemu głosowali, poda się do dymisji, bo przyszedł do władzy jako rząd Frontu Ludowego. Istotnie komuniści demonstracyjnie atakowali politykę t. zw. nieinterwencji w Hiszpanii, wskazując, jak jest ona wyzyskiwana przez interwencjonistów niemieckich i włoskich. Jeden z nich p. Peri czynił to w formie eleganckiej, drugi Thorez — nieco ostrzej, trzeci — Duclos bardzo ostro, a ktoś nawet powiedział, że brutalnie. Ale po tej demonstracji komuniści uchylili się od udziału w głosowaniu przeciw rządowi Bluma: nie głosowali. Co więcej nazajutrz ukazało się oświadczenie partii komunistycznej francuskiej, że nie zamierza zrywać bloku Frontu Ludowego, ani obalać rządu Bluma. Znaczna część nawet burżuazyjnej prasy francuskiej wyrażała może z bólem, może z żalem, że rząd Bluma po utarczce z komunistami jest jeszcze silniejszy niż był. Na łamach gazet warszawskich, które obalały „gabinet Bluma" rzadko kto to wyznanie powtórzył. A zapowiadano przecież upadek gabinetu przy ustawie o rozjemstwie przymusowym i przy noweli prasowej. Tymczasem i jedna i druga są uchwalone bardzo znaczną większością głosów.

Kłamstwa i ukrywanie prawdy — oto środki w walce o bezprawie. Dlatego to w Polsce nie wiele wiemy o tym, co dzieje się w Rumunii, bo przemilcza się walkę, którą toczy w tym kraju o prawo — partia narodowo-chłopska. Nie wiemy o tym, że jeden, z najwybitniejszych polityków rumuńskich Maniu, b. premier nie brał udziału w obchodzie rocznicy zjednoczenia Rumunii. Nie wiemy o tym, że w obu izbach rumuńskich rozległy się groźne ostrzeżenia pod adresem rządu uprawiającego wewnątrz flirt z antysemityzmem, a nazewnątrz amory z hitlerowskimi Niemcami.

Nie wiemy, pomimo zdawkowych frazesów o sympatii i przyjaźni, o tym jak naród węgierski likwiduje dziedzictwo swojego zmarłego dyktatora Gömbös'a, przywracając przede wszystkim uczciwe wybory, to źródło prawa i wolności. Decyzja taka zapadła już na naradzie przedstawicieli stronnictw z udziałem premiera Daranyi i innych członków rządu. Takie wiadomości są skrzętnie ukrywane przez t. zw. prasę informacyjną zarówno jak to wszystko, co świadczy o wyraźnym udziale rządu niemieckiego w wojnie w Hiszpanii.

Pisma angielskie jak „Daily Telegraph", „Daily Herald" podają dokładne i szczegółowe relacje o tym skąd, kiedy i ilu żołnierzy niemieckich wysłano do Hiszpanii.

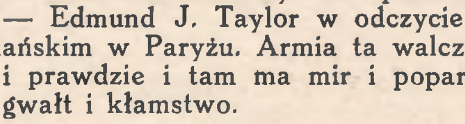
Np. w Essen dn. 21 listopada wezwano kawalerzystów, oddział karabinów maszynowych i czołgów, aby zgłaszali się na ochotnika do Hiszpanii. Gdy z 1700 zgłosiło się zaledwie 14, władze wyższe same wyznaczyły „ochotników", 35 z obsługi czołgów, 70 jeźdźców i 40 z obsługi karabinów maszynowych.

Takie same zaciągi „ochotników" odbyły się w Kassel, w Getyndze i w całym szeregu miast i miasteczek niemieckich. Nie ukrywają już przecież nawet korespondenci „narodowych" pism, że swastyka hitlerowska aż kłuje w oczy na całym terytorium ogarniętym przez armię gen. Franco.

Ma rację Romain Rolland, gdy w odezwie do wszystkich ludów z powodu obrony Madrytu przed armią gen. Franco pisze: „Są ludzie, którzy nie rozumieją, że pewnego dnia krew, która znaczy zbrodniczy pochód armii gen. Franco spadnie na głowy ich własnych ludów,... po Madrycie i Barcelonie barbarzyństwo, które rozpętali, zwróci się ostrzem przeciw ich własnym miastom."

Jedni naprawdę nie rozumieją, inni przeciwnie, rozumieją i dla tego to barbarzyństwo popierają, sławią i wynoszą pod niebiosa. Prawo i demokracja, przywrócenie ich tam, gdzie ich nie ma, oto największy, najskuteczniejszy środek ocalenia ludzkości od „wściekłych psów", jak niedawno nazwał armię gen. Franco bezstronny korespondent amerykański — Edmund J. Taylor w odczycie w klubie amerykańskim w Paryżu. Armia ta walczy przeciw prawu i prawdzie i tam ma mir i poparcie, gdzie panuje gwałt i kłamstwo.

f. r.



Z DNIA NA DZIEŃ

„GODNIE I SPOKOJNIE"...

W nieprzyzwoitym ataku na Marię Dąbrowską za jej szlachetny artykuł o burdach antysemickich na wyższych uczelniach pisze *Warszawski Dziennik Narodowy:*

„Nigdy furia żydo-komuny nie była tak wielka z powodu antysemityzmu młodzieży akademickiej, jak w roku bieżącym, kiedy ta młodzież, *godnie i spokojnie* (podkr. nasze), ale w masie zaprotestowała przeciw Żydom i sprzymierzonej z nim socjal-komunie".

„Godnie i spokojnie"... Ile trzeba cynizmu, ile czelności, żeby to napisać po wszystkim, co się działo na wyższych uczelniach!

W OBRONIE TANDETY

Od dnia 27 listopada 1937 roku zakazana została w Rzeszy wszelka krytyka w dziedzinie literatury, muzyki, teatru, filmu.

Zakaz ten ogłoszony został przez ministra propagandy, dr. Goebbelsa, w przemówieniu na ostatnim posiedzeniu niemieckiej Państwowej Izby Kultury oraz hitlerowskiej organizacji „Kraft durch Freude" („Siła przez radość").

Od 27 listopada wolno jest dzieło sztuki tylko opisywać. Nie wolno będzie wyrażać o nim sądu krytycznego, nie będzie wolno wytykać wad ani pochwalać zalet.

Słowem: pisarz, malarz, reżyser znajdzie się w Rzeszy w sytuacji wyjątkowej. Uwolniony będzie od krytyki, gdyż jest ona — zdaniem p. ministra Goebbelsa — tworem ducha liberalno-żydowskiego.

Nowy zakaz podyktowany jest po prostu lękiem przed „prawowierną" nawet i zglajchszaltowaną krytyką hitlerowskiej tandety kulturalnej.

1914 — 1936

Za sześć i pół miliona złotych można wybudować wielki blok domów mieszkalnych, by przenieść do nich rachityczną i anemiczną rzeszę ludzi z setek piwnicznych nor mieszkaniowych.

Za sześć i pół miliona można wznieść kilkanaście szkół, kilka dobrze urządzonych szpitali, zorganizować biblioteki...

Sześć i pół miliona złotych ocalić może tysiące ginących z głodu i bezdomnych nędzarzy.

Ile urządzeń kulturalnych i dobroczynnych za te sześć i pół miliona złotych mogłoby przybywać na świecie co godzina.

Tyle wydaje dziś świat *co godzinę* — na zbrojenia.

Z obliczeń prasy angielskiej wypływa, że budżety siedmiu mocarstw — Anglii, Francji, Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Włoch, Rosji i Japonii — pięciokrotnie przewyższają obecnie wydatki na zbrojenia w roku 1914.

Świat wydaje obecnie na zbrojenia 2 miliardy 250 tysięcy funtów rocznie.

Niemcy posiadają 12 proc. łącznej ludności tych siedmiu mocarstw, a ich udział w ogólnej sumie wydatków na zbrojenia wynosi 41 proc.!

W innych państwach stosunek ten przedstawia się w następujący sposób:

Stany Zjednoczone — 22,5 proc. ludności, 9 proc. sumy zbrojeń;

Sowiety — 29 proc. ludności, 26 proc. sumy wydatków zbrojeniowych;

Japonia — 12 proc. ludności, 3 proc. sumy na zbrojenia;

Anglia — 8,3 proc. ludności, 7 proc. sumy na zbrojenia.

A ile wydaje się na oświatę?

Francja i Anglia wydają na cele oświatowe 29 proc. sumy, przeznaczonej na zbrojenia. Japonia — 13 proc., Sowiety — 55 proc.

SMUTNA NIEOBECNOŚĆ

Profesorowie uniwerstetów i posłowie do parlamentów w dziewięciu krajach demokratycznych wysunęli demonstracyjnie kandydaturę Ossietzky'ego do nagrody pokoju Nobla. Światło ducha przeciwstawili barbarzyńskim ogniskom na Placu Opery w Berlinie.

Obok Ameryki i Anglii, Francji i Belgii, Czechosłowacji i Szwecji, Szwajcarii i Norwegii — znalazła się także Turcja. Profesorowie uniwersytetu w Stambule zgłosili również kandydaturę męczennika idei.

A gdzież byli nasi luminarze nauki nasi posłowie i senatorowie, profesorowie wszechnic, które zaznały męczeństwa myśli z woli ciemięzców?

BZDURY O MASONERII

W faszystowsko-klerykalnym *Tygodniku Ilustrowanym* czytamy:

„Od maja 1935 r. jesteśmy świadkami regeneracji wpływów masońskich i to niezwykle natężonych. Rękę masonerii — to jest istnienie wspólnego reżysera różnych posunięć — widać i w akcji za powrotem Witosa, i w regeneracji stronnictwa ludowego, i w organizowaniu na wielką skalę „wici", i w mobilizowaniu „naprawy", i w stałym graniu na rękę przez pewne koła wielkoprzemysłowe i kartele lewicowym ministrom, i, co najbardziej uderzające, w zgodnych, ukartowanych, systematycznych, planowych kampaniach prasowych bardzo rozległego frontu najrozmaitszych organów, od ultra-lewicowych aż do tygodników wielkiego przemysłu i do dzienników rzekomo „narodowych".

Cały wywód — bezgranicznie głupi.

„BRAT JAKÓB"

Warszawski Dziennik Narodowy, wszędzie węszący działania masonerii, wynalazł jakiegoś „brata Jakóba z *Epoki*"...

Prosimy o bliższe informacje, bo go nie znamy.

STEMPEL CZY WAWRZYN?

Według informacji *Wiadomości Literackich* skreślone zostało nazwisko Ewy Szelburg-Zarembiny z listy pisarzy, odznaczonych złotym wawrzynem, — dlatego rzekomo, iż o autorce „Ecce homo" ujemnie wypadła opinia departamentu bezpieczeństwa ministerium spraw wewnętrznych. Gdyby tak było, co wydaje się rzeczą niewiarogodną, powstałoby pytanie dla odznaczonych i dla Polskiej Akademii Literatury: co jest miarodajniejsze, czy rzeczywiste, objektywnie stwierdzone zasługi, położone na polu piśmiennictwa, czy subjektywne wyobrażenia urzędników bezpieczeństwa o prawomyślności piszących?

ŚMIERĆ ZACHAROWA

Wraz z Bazylim Zacharowem zszedł ze świata najmożniejszy potentat międzynarodówki handlu bronią, zwanej za oceanem międzynarodówką nagłej śmierci.

Z potoków krwi ludzkiej spływało do skarbca Zacharowa złoto, gruntując jego potęgę finansową i polityczną.

Życie Bazylego Zacharowa, człowieka bez ojczyzny i skrupułów, zawrzeć można w trzech słowach. Był człowiekiem jednej maszyny, jednej idei i jednej kobiety.

Maszyna uczyniła go bogatym i sławnym. Idea nigdy nie została zrealizowana. Kobieta nie uszczęśliwiła go.

Maszyną był — karabin maszynowy. Zacharow był entuzjastycznym jej propagatorem i prorokiem. Trzy rozstrzygające demonstracje szybkiej i precyzyjnej maszyny: wojna grecko-turecka, hiszpańsko-amerykańska, rosyjsko-japońska. Góry trupów. „Gdy przyrządza się omlet — mówił Zacharow do krewnego

swego Balińskiego — trzeba umieć rozbijać jajka". Zacharow, wytworny, arystokratyczny i zawsze uśmiechnięty, objeżdża świat, siejąc śmierć i zniszczenie.

W pewnej chwili opętała go wielka idea: odebrać Konstantynopol Turkom, wygnać półksiężyc w głąb Azji, wskrzesić Bizancjum.

Zacharow poświęca na ten cel, na podbój Azji Mniejszej przez Greków — miliony. Zagradza mu jednak drogę oficer turecki, Mustafa Kemal. Najeźdźca grecki zostaje przepędzony.

Szuka wówczas Zacharow ostatniego pocieszenia. Poślubia kobietę, którą kochał przez całe życie: Marię del Pilar, markizę Villafranca, księżniczkę Burbońską.

Przez trzydzieści lat piękna Hiszpanka służyła mu za reklamę i pomocnicę w międzynarodowych intrygach.

W kilka miesięcy po ślubie Maria del Pillar umiera.

Sukces — w sianiu śmierci. Dwa zawody — w życiu. Taki był los potentata nagłej śmierci, człowieka bez ojczyzny i skrupułów.

KTO TO JEST P. STANISŁAW WOTOWSKI?

P. Stanisław Wotowski wygłasza w Warszawie, życzliwie oceniane przez prasę klerykalną odczyty, w których wypowiada różne wskazania moralne. Sądzimy, że p. Wotowski nie nadaje się do tej roli, a sąd nasz opieramy na dokumentach poniżej przytoczonych.

Dnia 20 maja 1923 roku, po północy, w kasynie gry „Nirwana", przy ulicy Mokotowskiej w Warszawie, Piotr Rokossowski, lat 49, trzema wystrzałami z rewolweru pozbawił życia żonę swą, 26-letnią Helenę Rokossowską. Rozprawa główna z oskarżenia Rokossowskiego o zbrodnię umyślnego zabójstwa, odbyła się w Sądzie Okręgowym w Warszawie w dn. 4, 5, 6 i 7 grudnia 1923 r. Rozprawom przewodniczył sędzia W. Laskowski. Oskarżenie popierał Józef Wasserberger. Obronę wnosili adw. Jerzy Berland i Mieczysław Jarosz.

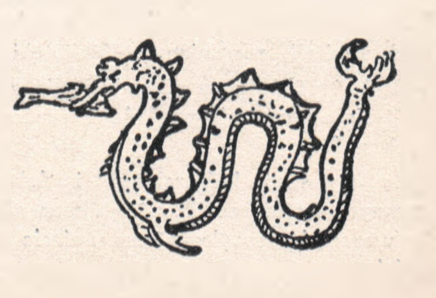
Wyjątek z mowy podprokuratora Józefa Wasserbergera:

„Panowie Sędziowie! Na to, by mówić spokojnie o działalności biura detektywów prywatnych „Pinkerton", trzeba naprawdę nerwów chirurga, który ma przeciąć wrzód, cuchnący brudem i zgnilizną. Pragnę utrzymać w karbach zimnego stwierdzenia faktów ten ludzki odruch oburzenia, któremu z tego miejsca powinienem dać odpowiedni wyraz. A więc mamy w aktach diabelski zaiste cyrograf, z którego wynika, że z końcem kwietnia 1923 r. biuro „Pinkerton" zobowiązało się dostarczyć Rokossowskiemu dowodów niewiary małżeńskiej żony. Od tej chwili zaczynają się rzeczy niezwykłe. Oficer, który jest kochankiem Rokossowskiej, telefonuje do niej z mieszkania fabrykanta, który jest bliskim znajomym Hertza, dyrektora „Pinkertonu". Rokossowska zaczepia w nocy na ulicy technika Fidlera, który następnie na piśmie składa oświadczenie, iż skrupuły natury religijnej skłaniają go do przyznania się mężowi, iż z żoną jego miał stosunek. „Pinkerton" wie z góry, że przed hotel „Continental" przy ul. Marszałkowskiej zajedzie dorożka, w której znajdzie się Rokossowska z kochankiem swym, oficerem. W tym celu dyrektor „Pinkertonu" Hertz zawozi na miejsce Rokossowskiego, któremu tę scenę pokazuje. *Właściciel zacnego biura, o znanym w Warszawie nazwisku, literat, który ten szczytny zawód umie połączyć z haniebnym procederem dostawcy dowodów niewiary małżeńskiej, Stanisław Wotowski,* staje się właścicielem szpilki do krawatu, z którą Rokossowska zgłasza się celem sprzedaży u jubilera Skórki, dobrego znajomego Wotowskiego, uprzedzonego o tym, że ta właśnie szpilka została mu skradziona. Rokossowska zaś, „przyłapana" przez Skórkę, twierdzi, że szpilkę tę podarował jej Wotowski. Wspaniałomyślność jednak tego pana nie ogranicza się tylko do podarunków. Pieniądze otrzymane od Rokossowskiego, obowiązują do bardziej realnego ekwiwalentu. A więc pod płaszczykiem przyjaciela, który chce pojednać zwaśnionych małżonków, Wotowski zaprasza Rokossowską do restauracji „Esplanada" przy rogu Złotej i Marszałkowskiej. O tym zaproszeniu do „Esplanady" przez właściciela biura, Wotowskiego, dowiaduje się naturalnie dyrektor biura, Hertz, i posyła tam natychmiast swego obserwatora Zborowskiego, o którym wiemy z przewodu sądowego, że jest wyrzuconym z policji za nadużycia wywiadowcą. Tegoż dnia, a było to na początku maja 1923 r., Rokossowski telefonuje po południu do przodownika policji Płoskiego, że żona, przeciwko której Płoski prowadził dochodzenie o kradzież, zameldowaną przez męża, znajdzie się wieczorem w „Esplanadzie". Płoski oczywiście nie poszedł. Natomiast był pod restauracją „obserwator" Zborowski w słusznym oczekiwaniu grubszego rezultatu obserwacji. Dziwnym, a jakże bardzo wytłumaczonym zbiegiem okoliczności znalazł się w restauracji kilkunastoletni amator, czy jak go nazywał świadek Śliwiński, honorowy członek biura „Pinkerton", Brandt. Wywiadowca „Pinkertonu" traci z oczu Wotowskiego, który rolę swą skończył i opuścił restaurację. Wkrótce po nim Rokossowska, w stanie zupełnie pijanym, co świadczy o tym, że interwencja Wotowskiego nie odbyła się bez alkoholu, nieodstępnego towarzysza nieszczęścia ludzkiego, za nią zaś Brandt również w stanie nietrzeźwym, udają się do trzeciorzędnego hoteliku „Japońskiego" przy ulicy Widok, gdzie obiecujący „członek honorowy" „Pinkertonu" znalazłszy się w pokoju z Rokossowską, nie omieszkał pozostawić drzwi otwartych. Wówczas „obserwator" Zborowski alarmuje przodownika policji i dwuch wywiadowców, którzy pod pozorem aresztowania poszukiwanej w sprawie kradzieży (z zameldowania męża) Rokossowskiej, wkraczają bezceremonialnie do pokoju, by następnie móc w protokule policyjnym uwiecznić drastyczną sytuację znalezionej w łóżku pary. Protokuł ten jest ukoronowaniem dzieła „Pinkertonu", urzędowym dowodem niewiary małżeńskiej, za którą wytworny właściciel „Pinkertonu" i równocześnie przyjaciel, godzący powaśnioną z mężem żonę, przyjął od niego judaszowe srebrniki, których kwota figuruje w kwicie, załączonym do akt na str. 41-ej".

Wyciąg z urzędowego odpisu wyroku Sądu Okręgowego z dnia 4—7 grudnia 1923 r. w sprawie VIII. I K. 3 K. 1199/23 r.

„...Między tych dwoje ludzi wkrada się prywatne biuro detektywów „Pinkerton" w osobie literata Wotowskiego, Hertza i Zborowskiego. „Pinkerton" za sumę 200 tys. Mkp. obowiązuje się Rokossowskiemu dostarczyć materiału do rozwodu, tyczący się moralno-etycznej strony prowadzenia się żony oskarżonego (patrz kwit F. 41)...

Rola biura „Pinkerton" w tragedii Rokossowskich nie nasuwa wątpliwości. Wszystkie koła i tryby prowokacji i oszczerstwa, szantażu i cynizmu zostały poruszone: zaczynając od osoby kierownika Wotowskiego, a kończąc na chwalącym się w „Nirwanie" ze swych przygód miłosnych Brandtcie lub Fidlerze, który niewiadomo skąd trafił do oskarżonego, by mu na piśmie podać historię swego stosunku do zabitej... Biuro „Pinkerton" dostarczyło danych o uprawianym hazardzie, znalazło osobników, odgrywających rolę przydybanych in flagranti kochanków"...



DOJRZAŁY POSTULAT SPOŁECZNY I PAŃSTWOWY

W czasopiśmie *Zielony Sztandar*, organie Stronnictwa Ludowego, ukazał się artykuł p. t. „Wywłaszczenie bez odszkodowania, jako akt sprawiedliwości społecznej i konieczności państwowej". Autor artykułu stwierdza, iż wywłaszczenie ziemian na rzecz chłopów nie jest w zasadzie obaleniem prawa własności, natomiast jest niezbędnym czynnikiem prowadzącym do podstawowej przemiany społeczno-gospodarczej państwa według programu ruchu ludowego. Pisze autor:

„Prawo własności w nowym ustroju będzie oparte na pracy i sprawiedliwości, podczas gdy wielka własność ziemska powstała z przemocy i wyzysku. Wywłaszczenie bez odszkodowania będzie tylko aktem wyrównania krzywdy dziejowej. Jest ono też aktem konieczności państwowej".

W dalszym ciągu autor artykułu przeprowadza wywód historyczny, oparty na materiale naukowym, kończy zaś twierdzeniem, że wywłaszczenie posiadaczy ziemskich bez odszkodowania będzie również dla państwa wyrównaniem tych wszystkich ogromnych szkód, jakie warstwa szlachecko-ziemiańska Polsce wyrządziła.

Sprawą wywłaszczenia posiadaczy ziemskich, z podkreśleniem „bez odszkodowania" — zajął się ostatnio także Zarząd Główny „Wici", Związku Młodzieży Wiejskiej R. P. Ponieważ sprawa ta wywołała gwałtowne ataki obozu wstecznictwa przeciw całemu ruchowi chłopskiemu, a „Wiciom" w szczególności, Zarząd Główny uchwalił jednomyślnie następujące oświadczenie i podał je do powszechnej wiadomości.

„W sprawie wywłaszczenia ziemi obszarniczej bez odszkodowania".

Wobec ataków obozu wstecznego na ruch wiciowy za projekty wywłaszczenia wielkich obszarów ziemi bez wykupu — zgodnie z naszym programem gospodarczym i deklaracją ideową oświadczamy: wielkie obszary ziemskie są dorobkiem całych pokoleń mas chłopskich, które przez długie wieki usprawniały ziemię bez należytego wynagrodzenia, natomiast w niewolniczym pohańbieniu;

warstwa ziemiańska, administrująca zdobyczami wysiłków chłopskich — aż nazbyt wygórowaną wzięła cenę za swe funkcje feodalne — tym więcej, że olbrzymie ilości ziemi chłopskiej zostały zagarnięte w różnych okresach historii przez warstwę szlachecką, od której wywodzi się dzisiejsze obszarnictwo·

dlatego też Ruch Wiciowy żąda objęcia wielkich obszarów ziemskich przez państwo bez żadnego odszkodowania, celem przeprowadzenia planowej reformy rolnej;

pozostawienie warstwie obszarniczej gospodarstw rolnych potrzebnych jako warsztaty pracy dla ich rodzin — przyczyni się do szybszego zjednoczenia się tej warstwy z warstwą chłopską;

takie rozwiązanie sprawy rolnej w niczym nie przeciwstawia się ideałom chrześcijaństwa, głoszącego potrzebę wyrównania krzywd, jako też równość i sprawiedliwość społeczną; dlatego też wywłaszczenia ziemi obszarniczej bez żadnego odszkodowania — żądamy i żądać będziemy aż do skutku;

likwidacja ognisk wstecznictwa jest koniecznością dziejową Polski, zaś aktualne względy natury gospodarczej, narodowej i państwowej — coraz żywiej domagają się wywłaszczenia i im wcześniej to nastąpi — tym z lepszym pożytkiem to wyjdzie dla Polski".

Rzecz znamienna, że również kler rzymski w Polsce zwalcza bardzo ostro tę społeczną część programu ruchu ludowego i, nadużywając ambony kościelnej, występuje przeciw wyrównaniu odwiecznej krzywdy chłopskiej. Równocześnie niemal — jakby prawem kontrastu — ukazuje się szereg reportaży ze wsi w prasie stołecznej, gdzie stale podkreślane są nastroje i przekonania rzeszy chłopskiej, jednolicie wypowiadającej się za wywłaszczeniem bez odszkodowania.

Postulat rzeszy chłopskiej mógłby jeszcze być kwestionowany i mógłby być poczytywany za hasło „partyjnie polityczne", gdyby nie to, że wieś bez różnicy przekonań politycznych takie właśnie rozstrzygnięcie sprawy rolnej uważa za jedynie słuszne i realne.

Oto w dniach 22 i 23 XI. b. r. odbył się w Warszawie Walny Zjazd „sanacyjnego" Związku Młodej Wsi (Siew), który, przeciwstawiając się „Wiciom" na innych punktach, łączy się jednak z „wiciowcami" w solidarnym żądaniu dla chłopów ziemi bez wykupu, woła on wielkim głosem o:

„Całkowite wykonanie reformy rolnej bez odszkodowania — i podniesienie klasy chłopskiej na wyższy poziom życia kulturalnego i materialnego", oraz stanowczo zapowiada, że *„ziemię będą posiadali tylko ci, którzy umieją ją racjonalnie uprawiać i będą sami na niej pracowali"*.

Sprawa więc jasna, jak słońce. Prorządowa organizacja młodzieży chłopskiej, znajdująca wydatną opiekę u przedstawicieli władzy państwowej, wypowiada się bez zastrzeżeń za wywłaszczeniem posiadaczy ziemskich bez odszkodowania. Wobec dworów obszarniczych, postawa chłopów jest jednolita.

Trzeba ponadto, dla całkowitego zdania sobie sprawy z sytuacji w tej niezwykle ważnej materii ustrojowej, przytoczyć uchwały *„Zetu"* — zjazdu działaczy niepodległościowych, jaki odbył się w stolicy w rocznicowym dniu 29 listopada b. r. Oto jak brzmi doniosła uchwała uczestników zjazdu w sprawie rolnej: *„Władanie ziemią należeć winno do indywidualnych, ale zrzeszonych drobnych wytwórców na gospodarstwach żywotnych. Spółdzielczość uważamy za jedną z właściwych dróg, wiodących ku urzeczywistnieniu gospodarki uspołecznionej"*.

Zatem tylko „drobny rolnik". Aczkolwiek sprawa odszkodowania została pominięta, to jednak zniesienie większej własności ziemskiej i w tej sferze działaczy uznano za podstawowy czynnik przeorganizowania struktury społeczno-gospodarczej w państwie.

Czas naprawdę na głębsze i bardziej odważne ujęcie sprawy wielkiej reformy rolnej w Polsce. Przekonanie o naglącej konieczności zlikwidowania większej własności ziemskiej, tak jednolite i zdecydowane w ruchu ludowym, wyszło już poza granice tego ruchu, zostało przyjęte również przez odłamy obozu rządzącego. Nikt nie może zaprzeczyć temu, iż ogromna większość obywateli kraju, nieledwie $^{9}/_{10}$ ludności, uważa za rzecz przesądzoną wywłaszczenie magnaterii ziemskiej. Warstwa zaś je-

dynie i realnie zainteresowana, to jest chłopi, oświadczają niezłomnie, iż za wywłaszczoną ziemię, która przejdzie w ich ręce, płacić nie czują się obowiązani; uważają bowiem ten akt społeczno-gospodarczy za „zwrot zagrabionej ongi ich własności".

Zdajemy sobie wszyscy sprawę z tego, iż rok rocznie przeszło trzysta tysięcy przyrostu naturalnego na wsi powiększa rzeszę bezrolnych, tym samym zwiększa już istniejący potężny napór tych rzesz na wielką własność ziemską, która jakby ślepa i głucha, zapamiętała w swym egoizmie klasowym, stawia zacięty opór wszelkim próbom wykonywania reformy rolnej w ramach obecnego ustroju.

Ci wszyscy, którzy jaśniej patrzą w przyszłość, rozumieją wszakże konieczność i zbawienność nadchodzącej wielkiej przemiany, która w dziedzinie ustroju rolnego wyrazi się bezwątpienia w postaci wywłaszczenia bez odszkodowania. Ku temu bowiem idzie z siłą nieprzepartą wielomilionowa, jednolita, zwarta rzesza chłopska: ta najszersza baza społeczna Rzeczypospolitej.

Jan Rola

MĘCZENNIK POKOJU

Dzieje walk Karola Ossietzky'ego.

Głośnym echem rozległ się na całym świecie policzek, wymierzony hitleryzmowi przez najwyższy areopag naukowy i kulturalny świata.

Nagroda pokojowa Nobla, przyznana pisarzowi, o którym prasa hitlerowska nie może pisać inaczej jak o „notorycznym zdrajcy" — dyskwalifikuje oskarżycieli i sędziów Ossietzky'ego.

Z rozwścieczonego ujadania prasy niemieckiej dowiedzieć się można najlepiej, jakie przestępstwa i zbrodnie ciążą na Ossietzkym. A więc — zdrada stanu, ujawnienie tajemnic obrony narodowej, zaprzedanie Francuzom, obrona Polaków śląskich.

Godzi się przypomnieć szczególne okoliczności, w jakich skazany został Ossietzky. Jako redaktor naczelny tygodnika pacyfistycznego i lewicowego „Weltbühne", Ossietzky pisał najczęściej artykuły wstępne. Nie on jednak był autorem o „Sekcji M Reichswehry", który demaskował pewne ukryte pozycje budżetu Rzeszy i ścisły kontakt marynarki z Lufthansą, towarzystwem powietrznej komunikacji handlowej. Dopiero po upływie dwóch lat sprawa tego artykułu, pióra jednego z współpracowników „Weltbühne", zawędrowała przed sąd. Autor artykułu przekroczył już granice Rzeszy. Ossietzky sam staje przed sądem w Lipsku, oskarżony o zdradę.

W chwili ogłaszania artykułu Niemcy rządzone były przez socjal-demokratę Hermana Müllera. Sprawa sądowa wytoczona została za rządów Brüninga, gdy wpływy sfer militarystycznych rosły z dnia na dzień. Reichswehra żądała ukarania śmiałka, demaskującego tajne przeznaczenie pewnych funduszów budżetu Rzeszy.

Sąk skazuje Ossietzky'ego na sześć miesięcy więzienia. Do wrót więzienia odprowadza go liczna grupa publicystów i pisarzy z Tomaszem i Henrykiem Mannem na czele.

Jakie były inne zbrodnie Karola Ossietzky'ego?

Przeżył wojnę na froncie wschodnim i zachodnim. Nie chciał, by kiedykolwiek powtórzył się obłęd wojny. Zakłada organizację „N i e w i e d e r K r i e g!" — Nigdy więcej wojny!

Pacyfista niemiecki, Siegfried Jacobson, powierza mu pisanie artykułów wstępnych w „Weltbühne". Tydzień po tygodniu pojawiają się apele o „przymierze pokoju Niemiec z Francją". Ossietzky podejmuje ciężkie zadanie. Zbiera i ogłasza dowody, że Niemcy gwałcą traktaty, zbroją się i — co najgorsze — tworzą nielegalną armię, słynną „czarną Reichswehrę".

Ossietzky wytrwale ukazuje gwałcenie traktatowych podpisów i zobowiązań. Pragnie, aby Niemcy zrehabilitowały się w oczach świata, dotrzymując słowa i nie odstępując od przyjętych zobowiązań.

Bieg wydarzeń jest coraz szybszy. W nielegalnej „czarnej Reichswehrze" rozpętała się fala mordów politycznych. Nie tracąc ani na chwilę zimnej krwi, Ossietzky ogłasza światu te zbrodnie, jedną po drugiej. Zbiera dowody i co tydzień ujawnia nowy mord. Napływają coraz liczniejsze listy, grożące śmiercią. Ossietzky dalej, bez lęku spełnia obowiązek. Osiąga wreszcie swój cel. Opinia publiczna zostaje wstrząśnięta. Rząd Rzeszy zmuszony jest podjąć śledztwo, ujawnione przez Ossietzky'ego fakty w pełni się potwierdzają i mordercy stają przed sądem.

W grudniu 1926 umiera Siegfried Jacobson. Redakcję „Weltbühne" powierza dwom przyjaciołom, Kurtowi Tucholsky'emu i Ossietzky'emu. Walka o pokój trwa i natęża się w obliczu wzmagających się w Rzeszy nastrojów militarystycznych.

Po odbyciu kary więzienia za zdradę stanu, Ossietzky podejmuje dalszą walkę. Zbliża się Hitler. Obejmuje władzę. Jednym z pierwszych zarządzeń jest zamknięcie „Weltbühne". Jeszcze w tydzień po objęciu władzy przez Hitlera, 7 lutego 1933, Ossietzky pisze o groźbie nowego systemu:

„Prawica prześciga znacznie stronnictwa lewicowe swą twardą i zimną wolą władzy... Jeśli nowemu rządowi uda się u s t a b i l i z o w a ć nędzę niemiecką na znośnym poziomie, jeśli zrezygnuje z ataków na zdobycze socjalne — ma pewne szanse na stworzenie systemu, który przetrwa może jedno pokolenie".

Te słowa, godne uwagi, skoro wypowiedział je zacięty wróg narodowego socjalizmu, uznane jednak zostały za śmiertelną obrazę przez reżym, który ma pretensje do żywota co najmniej 1.000-letniego (jak zapowiedział w jednej z mów Adolf Hitler).

Po zakazie i zamknięciu „Weltbühne", a na kilka dni przed aresztowaniem Ossietzky'ego przez hitlerowców, zwraca się doń jego przyjaciel, francuski publicysta, Charles Reber:

— Teraz przyszła pora na przeniesienie się do Paryża. Najwyższy czas.

Ossietzky zaprzeczył stanowczym ruchem głowy:

— Nie opuszcza się pola bitwy. Inni będą lepiej odemnie pracowali na emigracji. J a p o z o s t a j ę t u t a j. T r z e b a p r z y g o t o w a ć s i ł y

moralne, które po Hitlerze stworzą prawdziwą i pokojową republikę niemiecką.

Wszyscy przyjaciele żądali od Ossietzky'ego, by wyjechał za granicę. Odmówił.

— Zostanę, choćbym okupić to miał swoim życiem!

Pozostał. W tydzień później został aresztowany i wtrącony do obozu koncentracyjnego. Przeżył martyrologię obozów izolacyjnych Papenburgu i straszliwego w okrucieństwie Oranienburgu.

Żona i córka zdołały uciec za granicę. Schroniły się do Londynu, gdzie żyją dziś w nędzy.

***

Kandydaturę Ossietzky'ego do nagrody pokojowej Nobla traktowano niemal do ostatniej chwili, jako demonstrację tylko i akt protestu przeciw brutalnym represjom hitlerowców.

Dopiero po decyzji norweskiego jury okazało się, że „demonstracja" była wielka, międzynarodową kampanją, zorganizowaną przez polityków, uczonych, pisarzy.

Kto postawił kandydaturę Ossietzky'ego?

Wysunęła ją *Ameryka* przez 25-ciu profesorów uniwersyteckich i grono senatorów Stanów Zjednoczonych; dalej — *Anglia* — przez 7-u członków Izby Lordów, 86-u członków parlamentu z majorem Attlee na czele, oraz licznych profesorów uniwersytetów.

W imieniu *Francji* wysunął kandydaturę urzędujący minister oświaty Henryk Guernut. Poparło projekt 119 członków Izby deputowanych i Senatu oraz 20-u profesorów.

Kandydaturę Ossietzky'ego proponowała dalej *Belgia*. Wysunęli ją dwaj ówcześni członkowie rządu, Vandervelde i Menryk de Man, oraz liczni parlamentarzyści i profesorowie.

W imieniu *Szwajcarji* opowiedziało się za kandydaturą Ossietzky'ego 125 członków parlamentu i dziesięciu profesorów.

Kandydaturę Ossietzky'ego poparły dalej — *Turcja* (profesorowie uniwersytetu w Stambule), *Czechosłowacja* (54 senatorów i posłów oraz profesorowie), *Norwegia* (69 członków Stortingu) i *Szwecja* (50 członków parlamentu).

Północ Europy, kraje skandynawskie, środowiska wypróbowanej demokracji — uznały Ossietzky'ego godnym nagrody pokojowej Nobla. Tak sądziła światła, kulturalna i demokratyczna opinia dziewięciu krajów.

CZASY, KIEDY MĘŻOWIE PILNUJĄ GARNKÓW

Mam przed sobą przeszło tysiąc wypowiedzi robotnic i pracownic łódzkich, odpowiadających na pytanie, jak utrzymują swoje rodziny. Pytałam, czy utrzymuje rodzinę mąż, czy wspólnie z żoną, czy pomagają inni członkowie rodziny. Wypowiedzi te dotyczą stanu rzeczy z października bieżącego roku. Otóż ten stan rzeczy ma taką wymowę, że pragnę — w wielkim skrócie — podzielić się syntezą tych badań z czytelnikami „Epoki". (Całość, jako rzeczoznawca, przedkładam na żądanie Międzynarodowemu Biuru Pracy w Genewie).

Już z poprzednich badań, prowadzonych (wraz z p. Stefanem Prussem dla Instytutu Spraw Społecznych) w r. 1932 oraz zbieranych (łącznie z pp. dr. Zofią Garlicką i Eugenią Waśniewską — o bezrobociu kobiet) było widoczne, że lata kryzysowe przesuwają niejako funkcję żywiciela rodziny z mężczyzny na kobietę. W pewnych grupach wówczas objętych ankietą kobiet, którą fragmentarycznie opracowałam (jak n.p. około tysiąca odpowiedzi kobiet z Ochoty) kobiety mężatki, utrzymujące o własnych siłach rodzinę, sięgały 30%.

Od lat też już kobiety-publicystki i dziennikarki starają się zwracać uwagę społeczeństwa na zjawisko straszliwego przeciążenia pracą kobiety-matki. Utrzymując rodzinę ze swej zarobkowej pracy, kobieta nie jest przecie wolna od wszystkich swych domowych, rodzinnych obowiązków, bo nawet w wypadkach, gdy mąż „pilnuje garnków", pozostanie rodzenie, karmienie, wychowanie dzieci, obszycie ich, utrzymywanie w czystości i t. p. Rozumny zwolennik emancypacji kobiet nie rozumiał jej nigdy inaczej jak tak, że skoro mężatka musi pracować poza domem, państwo lub zorganizowane społeczeństwo powinno przyjść jej z pomocą w jej troskach o dzieci. Taki zaś stan rzeczy, jaki się zarysował już na początku kryzysu, urąga oczywiście i zdrowemu rozsądkowi, i interesom społeczeństwa i interesom przyszłych generacyj.

Tymczasem z dzisiejszych badań dowiadujemy się, że ten stan rzeczy uległ w dalszym ciągu bardzo znacznemu pogorszeniu. Przytoczymy tu parę wymownych liczb, oraz kilka dokumentów — własnych wypowiedzi robotnic.

W liczbie 1059 odpowiedzi robotnic siedmiu wielkich fabryk łódzkich włókienniczych kobiet zamężnych mamy 871; po odliczeniu 221 wdów i rozwiedzionych, pozostaje 650 kobiet, posiadających dziś mężów. (Świetny to przyczynek do antyżłobkowej argumentacji Lewiatana z przed dziesieciu lat, że pracują wogóle same panny!). *Z tych 650 mężatek — utrzymuje rodzinę (dzieci i męża) o własnych wyłącznych siłach* 388 osób, a więc prawie 60%.

Nie jest to mały ciężar, gdy w tej liczbie 35% kobiet musi utrzymać rodzinę, złożoną z 5 osób! A jeszcze pewien rzut oka na zarobki tych kobiet. Już w poprzednim artykule daliśmy o tym pewne pojęcie. W liczbie 1059 tych robotnic poniżej 20 zł. tygodniowo zarabia 684, czyli 64%. Tych liczb dla orientacji wystarczy.

A teraz parę własnych wynurzeń robotnic o ich życiu.

Oto robotnica, zarabiająca 3.50 zł. dziennie w przędzalni, pracująca obecnie pełny tydzień, utrzymuje zupełnie samodzielnie swoją, z męża i trojga dzieci złożoną, rodzinę. Po rzeczowych odpowiedziach na zadane pytania, pisze tak: „Będącą w ciąży, majster wysyła do salfaktorów, aby tam pracować, nadmieniam przy tym, iż jest to robota dla mężczyzn dość ciężka, a cóż dopiero dla kobiet w odmiennym stanie, której jest ciężko się schylać". Druga, zarabiająca 20 zł. tygodniowo, utrzymuje sama męża, dziecko i matkę. Ta pisze: „Żądamy równouprawnienia dla kobiet. Żądamy lepszej opieki dla

naszych dzieci, które latają cały dzień głodne, brudne i obdarte bo niema ich kto przypilnować... Marne jest życie robotnicy, która przez cały dzień musi pracować w fabryce, a gdy przyjdzie do domu wieczorem to musi znów wykonać funkcje domowe i nigdy nie ma chwili wypoczynku, chociaż czuje się chorą to musi pracować do ostatka sił. Żądamy zatrudnienia naszych mężów".

A oto tragiczna spowiedź starszej, umęczonej kobiety, zarabiającej (przy niepełnym w tej firmie tygodniu) zaledwie 14,50 zł. tygodniowo: „Utrzymuję męża, który jest zdolny do pracy i utrzymuję syna, który ma dziewiętnaście lat, pracował w tej firmie co i ja , został zredukowany, gdy miał 17 lat teraz go przyjąć nie chcą, bo jest za stary, bo już ma 19 lat i utrzymuję córeczkę, która rok 4 miesiące ma. Pracuję od 14 swoich lat, teraz mam 39 lat...". Cała groza współczesnych stosunków pracy otwiera się przed nami w tych prostych słowach...

Czy mamy się dziwić goryczy i żółci niejednej odpowiedzi w tych warunkach? Kobieta, zarabiająca 3 zł. dziennie i pracująca przez 3 dni w tygodniu, musi z tego zarobku utrzymać, prócz siebie, bezrobotnego męża i dziecko! Ta pisze: „Po co są sądy pracy i inspektorzy pracy, kiedy nic nie robią i nic nie wiedzą o nędzy robotnika. Kapitał kradnie i nie jest karany. Obłuda i kłamstwo triumfuje bezkarnie — prawo na papierze". — Niektóre wypowiadają się z wielką ścisłością i zrozumieniem rzeczy: „Żądamy 6 godzin pracy, zatrudnienia dla naszych mężów... Za te godziny można zatrudnić więcej bezrobocia... Taki czas nadszedł, że każdy robotnik, czy robotnica rozumie co ją boli,... ale jak się upomnimy, to panowie powiedzą — niepodoba się to za bramę — na to miejsce przyjdą drugie. Lud roboczy domagał się i domaga od rządów racjonalnej walki z kryzysem i bezrobociem przez planową gospodarkę skrócenia czasu pracy...".

A inna, tłumacząc, że musi utrzymać sama ze swej wyłącznej pracy dzieci i męża, który już od kilku lat nie dorwie się do żadnej pracy, pisze z sardonicznym humorem: „Utrzymać muszę prócz dzieci jeszcze męża, *bo teraz taki czas, że mężowie pilnują garnków...*"

Halina Krahelska.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

LOCHY WATYKANU*)

Nowy przekład niezmordowanego Boy'a zaznajomił polskich czytelników z jednym z pierwszych utworów czołowego francuskiego pisarza. Nikt dziś Gide'owi w Polsce wielkości nie odmawia — ale znany jest wciąż jeszcze zbyt mało. Na szczęście nie próżnuje ten, który wziął na siebie trud pośrednictwa między kulturą francuską a polską.

Życie Gide'a, tego duchowego wodza rewolty wychowanków rozlicznych szkół literackich, mogłoby posłużyć za temat dla fascynującej powieści psychologicznej. Potomek szeregu hugonockich pokoleń, od wczesnej młodości buntuje się przeciw krępującemu go wychowaniu, przeciw wszystkiemu, co z góry narzuca zwyczaj. Wypowiada wojnę społeczeństwu i wszelkiemu autorytetowi, przeciwstawiając mu prawo jednostki („Ammoraliste"). W szczególności geniusz, według niego, ma wyjątkowe prawa. Tych poglądów nie wyznaje Gide dla tego tylko, że są najdogodniejsze i że tak bardzo odpowiadają jego „wynaturzonej" naturze. Doszedł do nich drogą uporczywego badania siebie i społeczeństwa, kosztem wewnętrznej rozterki i wyrzeczenia się łatwego poklasku świata. Publiczna spowiedź jego życia („Si le grain ne meurt") świadczy o uczciwości i odwadze tego pisarza, który nie zawahał się głosić własnej etyki seksualnej. W późniejszych dziełach będzie głosić własną ewangelię społeczną („Les faux monnayeurs").

„Mogę pochwalić jedynie tych, którzy szukają jęcząc"... Czyż te słowa Pascala, motto jednej z ksiąg „Lochów Watykanu", nie określają najlepiej całego życia Gide'a? I jest w tym coś imponującego, kiedy mniej więcej sześćdziesięcioletni Gide zatrzymuje się w swych poszukiwaniach przy nowoodkrytym marksizmie. Czy starczy mu do końca życia ta młodzieńcza i gorąca wiara? Wrażenia, jakie ostatnio Gide odniósł ze swej podróży po Rosji Sowieckiej, wydają się temu zaprzeczać. Może znów będzie musiał szukać — jęcząc...

„Lochy Watykanu" to dziwna książka. Jedna z tych, o których się mówi, że je trudno „rozgryźć" Ma pozory awanturniczego romansu o niemal dumasowskich sytuacjach; ma drażniący posmak kosmopolityzmu politycznego i religijnego. Najtrywialniejsza rzeczywistość przeplata się tu z majakiem romantyzmu. Autor obszedł się okrutnie ze swymi bohaterami, są to wszystko przedstawiciele pogardzanego społeczeństwa; ich tragedie są mu obce, ich niezachwiana wiara we własne posłannictwo wydaje mu się śmieszna. A wyróżnia tylko Lefcadia Wluki, chłopca o porywającym uroku, którym zjedna sobie napotkanych w życiu kobiety i mężczyzn. Ta postać niepokoi, napawa nieokreślonym buntem. Trudno się z nią pogodzić, trudno z nią się rozstać.

M. Landauówna.

*) André Gide: *Lochy Watykanu* — przełożył T. Boy-Żeleński — Warsawa 1937. Tow. Wyd. „Rój".

SPROSTOWANIE

Od adwokata Janusza Rabskiego otrzymaliśmy z powołaniem na Dekret prasowy następujące sprostowanie: „W numerze 13 pisma „Epoka" z dnia 5 grudnia 1936 r. ukazał się artykuł p. t. „Chrzczona demokracja i wychrzczona endecja". W artykule tym było napisane między innymi co następuje: „Cytujemy tu nazwiska przykładowo. Brak miejsca nie pozwala na wyczerpujące potraktowanie tego fascynującego i tak niezmiernie obszernego tematu. Chcemy tylko wykazać, jak to indygenat endecki filtruje krew semicką, pozbawiając ją wszelkich dla ducha polskiego i polskiej kultury rozkładowych miazmatów... Nie chcemy mnożyć przykładów, ale trudno nie przypomnieć, że jednym z twórców Oeneru był przecież adwokat Janusz Rabski, syn Władysława Rabskiego, zajadłego endeckiego publicysty, ożenionego z czystej krwi semitką, córką Aleksandra Kraushara i Jadwigi z Bersonów". Powyższe informacje są niezgodne z prawdą. Po pierwsze: jestem członkiem Stronnictwa Narodowego; nie byłem ani członkiem, ani tym bardziej „jednym z twórców Oeneru". Po drugie: jestem synem Witolda Rogera i Stanisławy z Klimków Rabskich. Ani po mieczu, ani po kądzieli nie posiadam wśród swoich przodków żydów.

Ś. p. Władysław Rabski był stryjecznym bratem mojego ojca. (—) Janusz Rabski, adwokat".



W TEATRZE

Najważniejszym obecnie wydarzeniem teatralnym jest bezwątpienia sztuka Iwaszkiewicza o George Sand i Szopenie p. t. „Lato w Nohant", grana w Teatrze Małym. Ważna jako debiut sceniczny wybitnego pisarza (jeżeli nie liczyć wątłych „Kochanków z Werony") i to debiut uwieńczony sukcesem. Nasza literatura dramatyczna jest niezwykle uboga: kilku mechanicznych dostawców komediowych na niskim poziomie, od czasu do czasu tylko sztuki prawdziwego pisarza, ale niezmiernie rzadko. Iwaszkiewicz odrazu wysunął się do pierwszego rzędu naszych dramaturgów i można sądzić, odtąd zostanie przy teatrze na stałe, że jest nabytkiem dla teatru trwałym. Rzetelność artystyczna, wysoka kultura, dar wizji scenicznej, umiejętność prowadzenia dialogu i trzymania widza w napięciu — te wszystkie cechy urodzonego dramaturga ukazał Iwaszkiewicz w najlepszym gatunku i sprawił tym, nawet swoim zwolennikom, najmilszą niespodziankę, gdyż jego świetna proza i wyborne wiersze kazały raczej podejrzewać go o skłonność do epiki, do liryki. Okazuje się, że czuje on się równie dobrze wśród krótkich spięć dramatu.

O wizji Szopena jaką dał w swojej sztuce pisano już z największymi pochwałami. Wystarczy więc jeżeli raz jeszcze zaznaczę, że piekielną trudność przedstawienia geniusza na scenie pokonał Iwaszkiewicz świetnie. Uwydatniwszy jego ludzkie małostki, nic nie uronił z jego wielkości. To właśnie największa pochwała. Mam jednak żal o potraktowanie George Sand. Każdy, kto zna dokładniej życie tej niezwykłej kobiety, nie może się pogodzić z ujęciem jej przez Iwaszkiewicza. To nie była klempa, a taka właśnie wychodzi w sztuce. Dom jej w Nohant to było coś w rodzaju domu Sangerów w „Tessie" i żal nam bardzo, że autor spłaszczył i zburżuił to środowisko. Powiew geniuszu wniósł tam Szopen, ale i przed tym atmosfera sztuki, intensywnego życia intelektualnego, pogardy dla przesądów, uwielbienia przyrody, zdrowia moralnego niepodległego konwenansom — to była zdobycz pani domu i jej przyjaciół: najlepszych artystów, jacy tam zjeżdżali. Dowolnie, a przytem okrutnie i niesprawiedliwie przeinaczył Iwaszkiewicz stosunek George Sand do córki. To córka właśnie była młodą Dulską patrzącą z przekąsem i zawiścią na niezwykłą matkę, której nie dorastała do pięt, Iwaszkiewicz robi z niej niemal anioła. Co do mnie jestem przeciwna przedstawianiu postaci historycznych na tle przeinaczonych faktów: całe małżeństwo młodej Solange przedstawiało się akurat przeciwnie, niż to widzimy w naszej sztuce, a wyklinanie przez George Sand córki za to, że się oddała narzeczonemu jest i niemożliwe i fałszywe i banalne. W rzeczywistości George Sand sprzeciwiała się całą siłą małżeństwu córki z Clesingerem, który podobno był niegdyś jej kochankiem, a napewno nicponiem. Mimo to, gdy opuszczona i nieszczęśliwa Solange została sama, przyjęła ją do swego domu i wychowywała jej dziecko. O ile wielkość męska Szopena udała się Iwaszkiewiczowi znakomicie, o tyle George Sand, wroga mu i obca, jest raczej czelną mieszczką, z przypadku zarobkującą piórem, i ma niewiele wspólnego z prawdziwą postacią tej kobiety i artystki.

Z pomocą przyszła jednak pisarzowi aktorka. Pani Przybyłko jest jedyną u nas artystką, która może grać kobiety niepospolite, niezwykłe. Ona to ze wspaniałym zrozumieniem artystycznym, a jednocześnie wyczuciem kobiecym, chwyciła iskrę zgaszonego dość brutalnie przez autora płomienia, jakim jarzyła się George Sand i pomimo wszystko dała w tej postaci twórczynię, w której wielkość musimy wierzyć, nie skąpą klempę, ale kobietę, która do dziś nie przestaje, jeżeli nie swoją sztuką, to samą sobą fascynować świata. Wyglądała przytym wspaniale, od pierwszego wejścia w kostiumie do konnej jazdy, aż po ostatni moment zasłuchania. Biła z niej niepospolitość i, mimo wszystkich sympatyj autora, Solange, grana zresztą wybornie przez p. Andryczównę, nie dorastała do tej mamy. Szopen p. Ziembińskiego jest wielkim triumfem tego aktora, tylko mówi za cicho. Cała reszta zespołu wyreżysowana wybornie przez p. Wiercińskiego utrzymała się na wysokim poziomie. W sumie, jedno z najciekawszych i na europejską miarę zakrojonych zdarzeń artystycznych.

W Teatrze Narodowym „Cyganeria Warszawska" Nowaczyńskiego. Jak po wznowieniu „Adwokata i róż" tak i teraz zapewne rozwieje się (nie wśród elity intelektualnej, która o tym dawno wiedziała, ale wśród zwykłej publiczności) legenda o majsterstwie scenicznym tego pisarza. Już „Fryderyk" był nudny, ale szedł rolą Solskiego. „Cyganeria" jest nie tylko nudna, jest straszliwie płaska, nieporadna, szmirowata. Dialog jest martwy i wulgarny, częstochowskie rymy sypią się jak z rękawa, „nastroje" artystyczne pochodzą z niedzielnego odcinka brukowego pisma, obraz epoki fałszywy, charaktery z kartonu. Te cztery niemiłosierne akty wloką się jak noc przy chorym, i nie może nas nawet zelektryzować bulwarowe starcie się eterycznej hrabini z błyskającą białkami oczu piękną Żydówką czy cyganką. Jaka mizeria musiała ongi panować w teatrze, jeżeli podobna sztuka mogła uchodzić za dobrą. I mówi się, że teatr upada. Porównać sztuki Iwaszkiewicza, Słonimskiego, Pawlikowskiej, przeróbki Tuwima z tym smutnym zabytkiem,a uwierzymy raczej w renesans polskiego teatru.

Jedyną stroną komiczną tego przykrego przedstawienia jest ówczesny, jaskrawy filosemityzm autora, który doprowadził do stanu osłupienia przybyłą gromadnie do teatru młodzież endecką, popierającą totalnie Nowaczyńskiego. Obawiam się czy bohaterowie kastetu nie zwrócą się przeciw swemu prorokowi za tę antynordycką działalność. Aktorzy grali źle.

Irena Krzywicka.

F I L M

ROK 2000. SCENARIUSZ: H. G. WELLS

Na ruinach cywilizacji powstaje dyktatura roku 1970, ogromnie upodobniona do faszyzmu. Zwłaszcza postać „wodza" przypomina tu chwilami do złudzenia jednego z współczesnych dyktatorów. Nie ma tu oczywiście mowy o podobieństwie fizycznym. Tylko postawa i gesty.

Parodia „rzymskiego" pozdrowienia, uzupełnionego podniesieniem również i lewej ręki, osiąga zamierzony efekt. Zbliża to „dyktatora" z roku 1970 do krwawego wodza Ardama z „Wyspy Wariatów", który wydał swoim poddanym rozkaz chodzenia z wywieszonym językiem. Niewątpliwie Wells, sporządzając tę karykaturę pamiętał dobrze o tym swoim „wodzu" z wyspy Rampole. Dyktator z roku 1970 jest postacią wyraźnie wzorowaną na Ardamie, który urządzał „wyjące wiece" patriotycznego zapału, oraz uważał się za jedynego władcę i prawodawcę „swojej" wyspy.

Dyktator z filmu „Rok 2000" również jest jedynym prawodawcą kraju i chociaż nie maluje dla postrachu swego ciała, jak Ardam, to jednak paraduje w asyście swojej groźnej „gwardii", „robi ważnego" i „mobilizuje masy" do wojny pod hasłem, starym, jak tradycja mordu: „Victory and Peace" (Zwycięstwo i pokój). Wojna toczy się trzydzieści lat, a narody wciąż żyją niemal wyłącznie nadzieją pokoju... po zwycięstwie. „Wódz" jest uosobieniem „prawa" wojny. Tylko *tego* prawa. Nie reprezentuje *rozumu*. Wells uwypuklił ten moment w rozmowie dyktatora z przedstawicielem pokojowej organizacji „Skrzydła nad Światem" (Wings upon the World), Johnem Cabalem. Kiedy „wódz" pyta Cabala, co przynosi, ten odpowiada: „Prawo i rozsądek" (Law and Sanity). Gdy „wódz" woła, że tylko on reprezentuje prawo, Cabal zaznacza: „Powiedziałem — prawo i *rozsądek*".

Organizacja „Skrzydła nad Światem" — związek pacyfistycznych lotników kładzie kres wojowniczym zapędom „faszyzmu" roku 1970.

Zapomocą „gazów pokoju" lotnicy likwidują groteskową „dyktaturę", kończąc w ten sposób trzydziestoletni okres wojny i zniszczenia. „Wódz" umiera. Jego ostatnie słowa „Dlaczego mam być zwyciężony?", słowa jeszcze w chwili docydującej porażki wydobywające się z dna „wojenego ducha", dopełniają wellsowską sylwetkę dyktatora, który nie mógł pojąć możliwości takiego rozstrzygnięcia wojny, że żaden naród nie zostanie pokonany.

Śmiercią dyktatora kończy się ta część „Roku 2000", która jest nie tylko satyrą na współczesne społeczeństwo, ale również ostrym protestem przeciw wojnie i jej okropnościom.

Druga część, to obraz epoki wspaniałego rozkwitu ludzkości — epoki zwycięstwa postępu.

Olbrzymie metropolie, budowane pod ziemią, zalane potokami sztucznego słońca, rozwój telewizji, szklane domy, telefony, które nosi się na ręku, jak zegarek, stanowią w najdrobniejszych szczegółach opracowane tło tej części filmu.

Powstał świat cudownych wynalazków, świat *fantastyczny aż do prawdziwości*, podźwignięty trzeźwym marzeniem Wellsa i doskonałą pracą techniczną Neda Manna. Kinematografia nie pamięta tak matematycznie wypracowanej „fantazji" od czasu „Metropolis" Langa (Scenariusz: Thea von Harbou).

Wpływ filmów Fryderyka Langa: „Metropolis" i „Kobieta na Księżycu" znać w cudownie, dotykalnie prawdziwej realizacji zarówno miasta przyszłości, jak i międzyplanetarnego pocisku. W „finale" filmu zastosowano klasyczną metodę Griffitha. Tłum, podburzony przeciw „panowaniu maszyn" przez nieprzytomnego agitatora, biegnie, by zniszczyć pocisk międzyplanetarny, którym dwoje młodych ludzi ma wystartować na księżyc. Kontrast wzburzonego tłumu i powolnych przygotowań do startu. Pocisk, wystrzelony z ogromną szybkością, znika wśród gwiazd.

Całość „Roku 2000" bardzo dobrze sharmonizowana wzrokowo - muzycznie.

Doskonała jest jedna ze scen początkowych, w której ojciec, idący do wojska, żegna się z maleńkim synkiem. Malec, przebrany za dobosza, w hełmie szturmowym na główce odprowadza ojca do furtki. Potem „maszeruje" tam i spowrotem — bawi się w wojsko. Tło się zmienia, dziecko w hełmie szturmowym chodzi w cieniu wielkich, ciężkich butów żołnierskich i ciemnych żołnierskich postaci. Brak sceny śmierci dziecka podczas bombardowania miasta. A stanowiła ona moment, dopełniający wartość artystyczną tego epizodu.

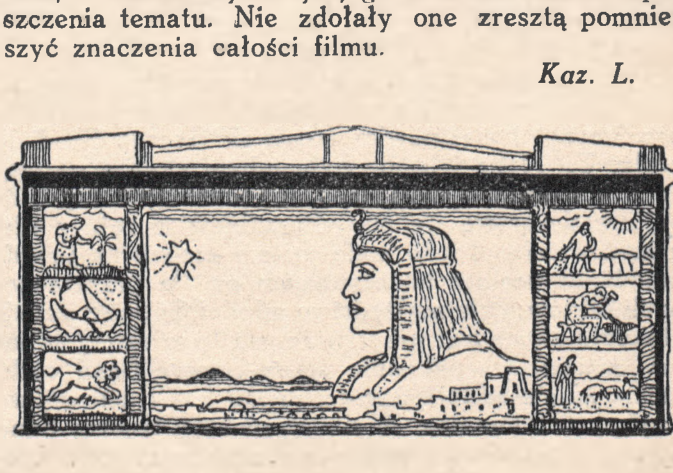
Film nie mógł oczywiście obejść się bez momentów banalnych, a nawet wręcz denerwujących. Do takich należy niepokojąca rozmowa na temat „czy aby postęp nie idzie za daleko?", zwłaszcza, że ma to być rozmowa dwóch ludzi światłych, a chodzi tu o podróże międzyplanetarne.

Dlaczego scenariusz H. G. Wellsa każe nam denerwować się banalną rozmową na temat „naprzód i ciągle naprzód", którą ci sami budowniczowie nowego świata prowadzą po odlocie międzyplanetarnej rakiety?

Czy po to, żeby wyrazić wiarę w postęp i wiarę w zwycięstwo człowieka w walce o opanowanie przyrody? Film może to wyrazić innymi, lepszymi środkami. Zresztą cała fabuła „Roku 2000" ma za myśl przewodnią wiarę w zwycięstwo postępu, który przedrze się przez wszystkie stawiane mu zapory i wyprowadzi ludzkość na światło lepszego życia. „Rozmowa" była tu momentem najzupełniej zbędnym.

Byłoby o wiele lepiej, gdyby ostatnim akordem „Roku 2000" był sam tylko start międzyplanetarnej rakiety, bez następującej po nim rozmowy. Byłoby to mocne zakończenie, mówiące wiele o tej wierze w przyszłość, która nadaje „Rokowi 2000" taką wartość, że trzeba wybaczyć jego twórcom lokalne spłaszczenia tematu. Nie zdołały one zresztą pomniejszyć znaczenia całości filmu.

Kaz. L.



WYDARZENIA I DOKUMENTY

APOSTOŁ WOJNY

W Monachium ukazała się nowa książka generała Ludendorffa p. t. „Der totale Krieg" (Wojna totalna).

Książka jest entuzjastycznym hymnem na cześć wojny. Nikt tak uroczyście nie objawił dotąd Niemcom, że jedynym celem, dla którego rodzą się ludzie, jest śmierć na polu bitwy.

Generał Ludendorff odsunięty był w Niemczech republiki weimarskiej od działalności politycznej. Był ośmieszany za swoje koncepcje powrotu do religii starogermańskiej.

Dziś zaś w hitlerowskich Niemczech powrócił do łask.

Przewodnią myślą książki „Der totale Krieg" jest teza, iż jedyną ambicją niemieckiej polityki jest całkowite podporządkowanie się idei prowadzenia wojny. Podstawą zaś wojny totalnej jest jedność duchowa narodu.

Naród istnieje tylko po to, aby stał się jednym wielkim organizmem militarnowojennym.

Jest to — jak widzimy — ideowa podbudowa akcji „zgleichszaltowania" całego społeczeństwa.

Książka gen. Ludendorffa rozeszła się odrazu w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.

KRANIEC ZNIKCZEMNIENIA

Julian Tuwim zwrócił uwagę w *Wiadomościach Literackich* na odpowiedź udzieloną Związkowi Żydowskich Żołnierzy Frontowych przez ministra poczty Trzeciej Rzeszy, Freihera Eltza von Rübenacha. Odpowiedź ta brzmi:

„Ein vom Reichsbund jüdischer Frontsoldaten gestellter Antrag, auch den jüdischen Kriegsblinden die den Kriegsblinden gewahrten Vergünstigungen bei den Fernsprechgebühren zuteil werden zu lassen, wurde vom Reichspostminister abgelehnt" („Wniosek Związku Żydowskich Żołnierzy Frontowych, aby oślepli na wojnie Żydzi mogli korzystać z tych samych ulg w rozmowach telefonicznych co inni oślepli, został przez ministra poczty odrzucony").

STERYLIZACJA Z POWODU WADLIWEJ WYMOWY.

Niejaki Schonwalder do niedawna jeszcze był zatrudniony w warsztatach kolejowych Altony w Niemczech, choć był obywatelem czechosłowackim. Pewnego pięknego poranku oznajmiono mu, że ma się stawić przed „trybunałem sterylizacyjnym", gdzie istotnie został skazany na operację sterylizacji za brak inteligencji i wadliwą wymowę. Pomimo jego gwałtownych protestów, operacja została wykonana. Od tej pory Schonwalder jest ciężko chory i zamierza wystąpić przeciw Państwu Niemieckiemu o odszkodowanie, przed Trybunałem Międzynarodowym w Hadze.

INTERESY KRÓLA ALFONSA XIII.

Szwajcaria, która „w trosce o zachowanie neutralności" ograniczyła pobyt negusa abisyńskiego na swym terytorium i kazała szpiegować p. del Vayo, ministra spraw zagranicznych Hiszpanii, podczas jego pobytu w Genewie, chlubi się, że gości obecnie Jego Królewską Mość Alfonsa XIII. Ex-król istotnie stanął w jednym z hoteli w Ouchy, rzekomo „dla przeprowadzenia kuracji".

Ale szwajcarska prasa socjalistyczna francuska przeprowadziła badanie celów pobytu b. monarchy hiszpańskiego i postawiła rządowi związkowemu pewne ściśle sformułowane pytania:

„Czy J. K. M. nie jest w stosunkach z wielkim bankiem szwajcarskim i pewną fabryką broni? Czy nie przyjmuje również pewnego, dużego kalibru biznesmana szwajcarskiego? Czy ten pan nie nawiązał rokowań ze szwajcarskimi fabrykantami amunicji i urzędnikami państwowymi? Czy ów biznesmen nie montuje fabryki pocisków na ziemi szwajcarskiej? I czy do tych wszystkich pertraktacji nie jest zamieszana pewna wysoka osobistość włoska?"

WŚRÓD ROBOTNIKÓW NIEMIECKICH

Z artykułów inspektorki pracy Janiny Miedzińskiej w *Gazecie Polskiej* o stosunkach pracy w Trzeciej Rzeszy wynika, że robotnicy niemieccy *muszą* należeć do Niemieckiego Frontu Pracy, gdyż inaczej nie otrzymaliby pracy. Nieco później obiegła prasę interesująca wzmianka, że już sama odmowa hitlerowskiego pozdrowienia (wzniesioną ręką) jest wystarczająca, żeby robotnik został w fabryce zdyskwilifikowany z punktu widzenia „honoru pracy" i jako taki — wystawiony poza nawias czynnych w produkcji. Ta odrobina prawdy o niemieckich stosunkach fabrycznych otrzeźwia nieco nawet umysły, dość mocno zafascynowane „powodzeniem" eksperymentu Hitlera. Wypada zrewidować tak szeroko powtarzane w kołach inteligencji twierdzenie, że... zapewne, palenie książek i inne barbarzyństwa, to zło, ale... naród niemiecki czuje się szczęśliwy, masy stoją całkowicie przy reżymie, robotnicy wszyscy (lub przeważnie) są hitlerowcami z przekonania itp.

Nie bardzo już tak sielankowo z tym hitlerostwem robotników, skoro stosuje się taki przymus, najgorszy w życiu robotnika: groźbę utraty pracy.

Ostatnie tygodnie dorzucają jeszcze sporo światła do tych poprzednich informacyj. Pisma robotnicze (*„Tydzień robotnika"*, *„Robotnik"* i inne) podały, że w początku listopada b. r. nastąpiły liczne aresztowania wśród robotników w koncernie Siemensa w Berlinie. Powodem tych represyj była okoliczność, że robotnicy ci zbierali pośród siebie ofiary pieniężne na pomoc robotnikom hiszpańskim w ich walce z rebelją generałów. Mimo zmonopolizowania całej prasy, wszelkiej informacji publicznej, radia itd. przez państwo i reżym hitlerowski, tak iż sprawy hiszpańskie przedstawiane są Niemcom jedynie w oświetleniu oficjalnem, wewnątrz t. zw. Niemieckiego Frontu Pracy i wśród rzekomych entuzjastów hitleryzmu musi się znajdować sporo ludzi o wręcz innych zapatrywaniach i nastrojach. Było to zresztą zawsze jasne dla osób niezarażonych wpływami hitleryzmu.

Równie interesujące są wiadomości z niemieckiego Górnego Śląska. Przedostały się one do polskiej prasy dzięki sporządzeniu przez związek przemysłowców niemieckich w tej dzielnicy bardzo znamiennego memoriału do rządu Rzeszy. W memoriale tym przemysłowcy donoszą o niepokojących wrzeniach wśród robotników fabrycznych. Nastroje antyhitlerowskie wzrastają tam równolegle do wzrostu trudności żywnościowych w Niemczech. Przemysłowcy obawiają się nadchodzącej zimy, która pogorszy jeszcze warunki życia i żywienia pracujących. Memoriał ten stwierdza, że robotnicy burzą się przeciw zasadzie „przywództwa" właścicieli i zarządzających fabryk, nieraz stosują sabotaż w pracy, a nastroje i zapatrywania społeczno-polityczne wśród robotników „narodowo-socjalistycznych" ulegają wciąż tak daleko idącej radykalizacji, że dziś „nie ma już różnicy pomiędzy hitlerowcami a socjalistami i opozycjonistami dawnej lewicy robotniczej".

Ta ocena nastrojów robotniczych przez przemysłowców może być bardzo przejaskrawiona, gdyż „strach ma wielkie oczy". Potwierdza jednak i ona fakt oczywisty: system nie pozyskał robotników fabrycznych. Mówił zresztą wręcz o tym ostatnio kierownik Frontu Pracy w Klangenfurcie. *„Tydzień Robotnika"* podaje nawet tekst tego przemówienia, za które, jak słusznie sądzi, mówcę tego musiały dotknąć represje. „Nie wmawiajmy sobie, że udało się nam zdobyć robotników. Robotnicy nic o nas wiedzieć nie chcą i w dalszym ciągu ufają swym dawnym przywódcom! Jeżeli urzą-

dzamy jakieś zebrania, to robotnicy, albo wcale nie przychodzą, albo przychodzą, aby się z nas wyśmiać. Gdyby nie ci przemysłowcy, którzy zmuszają swe załogi robotnicze do płacenia składek naszym organizacjom, to nie mielibyśmy nikogo w naszych związkach!"

Otrzeźwienie zbliża się nawet wśród najsilniej otumanionych.

NOWY NUMER ŚWIATŁA

Ukazał się grudniowy numer (12) miesięcznika „Światło" i zawiera treść następującą: R. Nencki: Przemiany w Stan. Zjedn. A. P. — Al. Dek.: Polska a kolonie. — K. Czapiński: Dwie kultury. — B. Dudziński: W kręgu fatalnych sprzeczności. — *Echa:* A jednak młodzież pójdzie z ludem. — Najjaśniejsza gwarantka niepodległości. — Nagonka na Rzymowskiego. *Przeglądy:* Hiszpania — Sytuacja militarna walczących stron — Francja: Pół roku rządu ludowego. — Estonia: Od 18 roku do chwili obecnej. *Wśród książek:* Marian Falski: Organizacja szkolnictwa powszechnego. Głosy w sprawie „spółdzielni czytelników książki". — Notatnik referenta.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu A. P. w Dąbrowie Górniczej. Za górnicze „szczęść Boże" serdecznie dziękujemy.

Panu K. W. w Pogorzeli. Za piękny list bardzo dziękujemy.

Panu Aleksandrowi Z. w Stanisławowie. Nie do druku.

Pani Stanisławie G. w Dąbrowie Górniczej. Za dużo słów, za mało treści.

Pani Zofii W. w Radomiu. Dziękujemy, przesłaliśmy.

Panu Janowi K. w Sosnowcu. Serdecznie dziękujemy.

Panu Karolowi N. w Toruniu. Utworów scenicznych nie zamieszczamy.

Panu Witoldowi M. w Łowiczu. Nie możemy zamieścić.

Panu Marianowi K. we Lwowie. W jednym z najbliższych numerów „Epoki".

Pani Helenie W. w Kielcach. Wydaje nam się, że córeczka nie ma „talenciku".

Panu Kazimierzowi Z. w Łodzi. Skorzystamy z nadesłanego materiału.

Panu Janowi R. w Łodzi. Tak, ale cenzura inaczej się na takie sprawy zapatruje.

Panu Ryszardowi W. w Krakowie. Przyjdzie czas i na to.

W ciągu 1936 roku w „EPOCE" pisali:

Stanisław Czosnowski, prof. Włodzimierz Dzwonkowski, Zofia Goździejewska, Andrzej Grot, dr. Włodzimierz Jampolski, Czesława Kamińska, prof. Tadeusz Kotarbiński, Władysław Kowalski, Halina Krahelska, Irena Krzywicka, Henryk Lukrec, Wanda Melcer, Herminia Naglerowa, Maria Ossowska, Władysław Oszelda, Bolesław Piach, Wacław Rogowicz, Wincenty Rzymowski, Jan Rola, prof. Zygmunt Szymanowski, Adam Uziembło, Józef Wasowski, Julia Wieleżyńska.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty na I-y kwartał 1937 r. Abonentów, którzy nie wpłacili prenumeraty za kwartał bieżący, prosimy o bezzwłoczne uregulowanie należności, w przeciwnym razie będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłanie im pisma.

Do numeru niniejszego dołącza się przekaz P. K. O.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

R E D A K T O R przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się.

P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 60 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3218 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.